PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor odpowiedzialny STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a.

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Naczelny Redaktor przyjmuje interesantów w środy i piątki od g. 18 do 19

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wszystkim naszym Czytelnikom i Przyjaciołom składamy z okazji Nowego Roku najserdeczniejsze życzenia. Oby sprawiedliwość i uczciwość zapanowały w życiu publicznym Polski i udaremnione zostały ciemne machinacje wrogów religji i Kościoła! Życzmy sobie wzajemnie, aby inteligencja katolicka zbudziła się do pracv i wysiłków w duchu szeroko pojętej sprawiedliwości i miłości, a przez to zasypana została przepaść, oddzielająca inteligencję od polskiego chłopa i robotnika!

Pro Christo.

Patron młodego pokolenia.

Znamy szereg wybitnych postaci historycznych, za któremi stoją wielkie czyny wojenne, wspaniały i twórczy rozum stanu, jednoczący poszczególne prowincje w jedną całość, lub tworzący wiekopomne ustawy i instytucje życia publicznego, genjusz w dziedzinie nauki, literatury i sztuki...

Są to, jakby olbrzymie, wspaniałe posągi, ze spiżu, lub pięknego marmuru. Tak, jak ten posąg „Wolności", widoczny przy wjeździe do Stolicy narodu amerykańskiego, lub potężne piramidy egipskie — dzieła które podziwiały i podziwiać będą liczne pokolenia. Zdaleka tworzą, zda się, bryłę pojedyńczą i harmonijną, ale, gdy zechce kto obejrzeć zbliska, zaraz ujrzy

różnice poszczególnych części składowych, zauważy szczerby i uszkodzenia poczynione przez wieki...

Każda wielkość i sława opiera się w pewnej mierze na potędze ducha, na ujarzmieniu przez niego materji. Jest jednak pewien rodzaj wielkości zapoznanej w okresie materjalizmu, a jednak najtrudniejszej, wymagającej najwyższego samozaparcia, najczystszej. To wielkość z najwyższych regjonów ducha, gdzie kształtują się stosunki między człowiekiem a Bogiem. To wielkość Świętych Pańskich.

Święty Stanisław Kostka nie był ani wodzem, ani uczonym, ani wynalazcą, mężem stanu, czy poetą, a jednak czci go i wielbi cały świat kulturalny, jako Wielkiego Bohatera ludzkości, czcimy Go także my, Polacy, jako naszego Patrona i bohatera narodowego. Postać ta jaśnieje i jaśnieć będzie żywym i nigdy niegasnącym blaskiem, którego nie przyćmi ani ciężar upływających wieków, ani żadna analiza, czy badania naukowe.

Święty Stanisław Kostka umarł, jako młodzieniec 18-letni, w wieku, w którym dla innych życie dopiero się zaczyna i można powiedzieć, że działalność Jego w szerszym zakresie rozpoczęła się dopiero po śmierci. Dla wierzących katolików jest to zupełnie zrozumiałe. Wszak świętych obcowanie—ta mistyczna, łączność i wzajemne oddziaływanie ludzi na ziemi, dusz w czyścu cierpiących i świętych w niebie — nie jest dla nas legendą, lecz rzeczywistością.

Narody również mają swoją księgę dobrego i złego przed Panem Zastępów. Pismo św. mówi w kilku miejscach, jak Bóg darowywał winy społeczeństwom dla jednostek wybranych. Były okresy, kiedy Polska chyliła się do upadku z powodu błędów i przewin jej synów. Wówczas — wierzymy — wyjednała nam łaskę powstania z upadku Królowa Korony Polskiej Najświętsza Panna Marja i święci nasi Patronowie, a w ich liczbie św. Stanisław. Liczne podania i relacje potwierdzają tę wiarę. Niejednokrotnie rycerstwo nasze, walczące na polach bitew z wrogiem religji i cywilizacji widziało Jego postać unoszącą się nad pobojowiskiem, ocalenie wielu twierdz i miast przed zalewem hord, idących ze wschodu Jego przypisywano orędownictwu.

Życie św. Stanisława przypada na drugą połowę XVI wieku—okres przełomu kulturalnego i religijnego. Humanizm prowadzi do odrodzenia pierwiastków kultury pogańskiej Refor-

macja wprowadza herezje i anarchję religijną i zwiększa upadek obyczajów. W Polsce szerzą się liczne sekty i herezje, szlachta polska staje się w znacznej swej liczbie protestancką.

Jest to zarazem złoty okres Jagiellonów, w którym Polska dochodzi do szczytu potęgi politycznej, ale już wówczas pojawiają się w naszym życiu zbiorowym objawy, znamionujące grożący w przyszłości upadek państwa, te wady organiczne, które spowodowały jego słabość: brak dobrej konstytucji, brak stałej armji, ubogi skarb, swawola rządzącej warstwy szlacheckiej i ograniczenia niesprawiedliwe wobec miast i drobnego rolnictwa. Wśród warstwy rządzącej rozpowszechniają się wady, już wówczas, lub nieco później dostrzeżone i karcone przez takie umysły, jak Andrzei Frycz Modrzewski i Piotr Skarga, a w pierwszym rzędzie pycha i buta stanowa z jednej strony, gardząca innemi warstwami społeczeństwa, a z drugiej strony władzy państwowej niepodległa, płytkość umysłu, lekkomyślność, obojętność wobec zagadnień religijnych, społecznych i t. d.

Św. Stanisław nie działał publicznie, lecz życie Jego prywatne tak odbijało od życia współczesnych, różnica między Nim a choćby Jego najbliższą rodziną była tak wielka, cnoty tak doskonałe i tak dalece przeciwstawiające się odpowiednim wadom społeczeństwa, że sama już postać świętego stała się bardzo krótko po Jego śmierci—żywym przykładem i ostrzeżeniem. I stał się fakt niebywały. Oto młode pacholę, odbywające nowicjat w zakładzie O.O. Jezuitów w Rzymie staje się zaraz po śmierci przedmiotem podziwu i kultu całego chrześcijaństwa a w szczególności rodzinnego kraju. Przykład ten żywy więcej zdziałał i działa, niż wygrane bitwy, wynalazki, dzieła naukowe, czy literackie.

Przykład ten i wzór do naśladowania trwać będzie przez wieki i wpływać na coraz to nowe pokolenia.

W dzisiejszych czasach Bóg dał Narodowi Polskiemu wielką łaskę niepodległości i wyzwolenia. Świetna przyszłość stoi przed nami otworem, możemy ją zrealizować własnym wysiłkiem i pracą.

Lecz widzimy, że chociaż rdzeń narodu jest zdrowy, obyczaje nie są najgorsze, a większość stoi i—daj Boże—stać będzie przy wierze ojców—to wszakże liczne wady i błędy zaśmieciły pierwsze 10 lat naszej niepodległości. Widzimy powojenny

upadek obyczajów, naruszanie praw natury w życiu rodzinnym, widzimy w życiu ekonomicznym wyzysk i brudną spekulację z jednej, a nienawiść i prądy destrukcyjne z drugiej strony, widzimy, obojętność inteligencji w życiu społecznym, odsunięcie się jej od ludu i jego potrzeb—zanik cnoty miłości i sprawiedliwości—a zdarzają się, niestety, także i zbrodnie, nieukarane przez wymiar sprawiedliwości, a tem bardziej wołające o pomstę do Boga...

Siła i wielkość każdego narodu oparta jest w gruncie rzeczy na podstawach moralnych. Aby tężyzna naszego narodu znowu się nie załamała pod ciężarem nieprawości, módlmy się do św. Patrona Polski Stanislawa Kostki, aby wziął Ją w opiekę przed tronem Pana Zastępów, aby prośbami swymi wyjednał odrodzenie moralne naszego społeczeństwa, a szczególnie młodego pokolenia, które jest przyszłością Polski.

Niech więc krzewi się w dalszym ciągu i rozwija kult św. Stanisława w organizacjach i kołach młodzieży. I nietylko ten kult urzędowy, polegający na nabożeństwie i akademji raz na rok, lecz bliższe i bezpośrednie poznanie Młodego Bohatera i wykorzystanie tego uroku, który budzić winien w młodocianych sercach i umysłach.

Gdy św. Stanisław Kostka stanie się żywym i bezpośrednim Przyjacielem młodzieży wszystkich warstw i stanów: i młodzieży szkolnej, i tych, co pracują w warsztatach rzemieślniczych i robotniczych, i tych, którzy chodzą za pługiem—gdy ogół młodzieży będzie uważał Go za swego Patrona, za żywy przykład w troskach i w pracach dnia codziennego — wówczas będziemy mogli być spokojni o przyszłość Ojczyzny, posiadającej taką młodzież.

Do pracy i walki!

„My chrześcijanie,.. jesteśmy plemieniem, stworzonem do czynu i do walki"
(Ks. Bp. Prohàszca „Rozm. o Ewang.").

Istotą, celem i zadaniem Akcji Katolickiej to, jak wiadomo, krzewienie i utwierdzanie królestwa Chrystusowego w jednostkach, rodzinach i społeczeństwach przez hierarchiczne apostol-

stwo świeckich, zrzeszonych „dla obrony zasad religijno-moralnych, dla rozwoju zdrowej i dobroczynnej akcji społecznej, pod przewodnictwem hierarchji duchownej, poza i ponad stronnictwami politycznemi, dla odnowienia życia katolickiego“.[1])

W związku z tem założeniem wysuwają się w A. K. dwa zasadnicze momenty: *czyn katolicki*, pojęty jako praca na tem czy innem polu i *obrona królewskich praw Chrystusa Pana utożsamionych z prawami Oblubienicy Jego, Kościoła.* Oba te momenty, razem wzięte, stanowią ów *„pełny, żywy i czynny katolicyzm“* [2]), jakim ma być Akcja Katolicka.

Do czynu katolickiego, w znaczeniu działalności w tem czy owem zakresie, zabieramy się od lat szeregu, choć w wielce niedostatecznej jeszcze liczbie i mierze. W szczególności nie doceniają u nas żywioły katolickie kapitalnego, wobec nurtujących świat dzisiejszy prądów, znaczenia i konieczności intensywnej pracy społecznej, która jest chyba jednem z najważniejszych nakazów i palących zagadnień A. K.

Jeśli chodzi o stanie na straży praw Chrystusa i Kościoła oraz o dopominanie się o to, co się nam słusznie należy, to przyznać trzeba, że mamy zbyt wielu katolików, idących po linji najmniejszego oporu i minimalnych żądań, ludzi skłonnych zawsze do kompromisu.

A jednak słusznie wyraził się jeden z współczesnych mężów stanu (Masaryk), że katolicy będą mieli tyle praw, ile ich sobie wywalczą.

U nas w Polsce trudno nam zdobyć się na stanowczy opór i męskie, odważne przeciwdziałanie wszystkim tym czynnikom, które owe najświętsze, niezmienne i nieprzedawnione prawa Chrystusa Króla pomijają, zapoznają, lekceważą, lub w jakikolwiek sposób naruszają a nawet depczą. Przypatrzywszy się bliżej dotychczasowej naszej działalności, odnosi się wrażenie, że nawet szczerze katolickie jednostki, czy stowarzyszenia uważają, że robią wszystko, czego od nich Bóg i Kościół żąda, jeśli imają się pracy społecznej czy dobroczynnej i takową z mniej lub więcej dodatnim wynikiem — co już oczywiście nie zawsze od nich zależy — wykonują. Natomiast niedość liczą

---

[1]) Własnor. list Piusa XI do Międzynar. Zw. Lig. Katol. Kobiet.

[2]) Ks. Bp. Kubina, list past. o A. K.

się z obowiązkiem i potrzebą czuwania na zagrożonych dziś poważnie szańcach, z koniecznością sprzeciwiania się złu, protestu i obrony w razie jawnego natarcia wrogich żywiołów, czy też ukrytego podkopu z tej lub owej strony.

Współpraca w tym kierunku świeckich katolików z duchowieństwem, pod przewodnictwem Episkopatu, jest nieodzowną, o ile nie chcemy dopuścić do skutecznego targnięcia się na dobra nasze najdroższe i do odchrześcijanienia życia i obyczajów.

Przypomnijmy sobie znany szczegół z życia Piusa X. Świętobliwy ten papież zadał razu pewnego kardynałom następujące pytanie: Co jest dziś rzeczą najpotrzebniejszą dla zbawienia społeczeństwa? — Budowanie szkół katolickich — odzywają się głosy. — Nie — odrzekł Ojciec św. — Pomnożenie liczby kościołów. — I to nie. — Przysporzenie powołań kapłańskich. — Jeszcze nie to. Wedle mego zapatrywania—powiedział Pius X — rzeczą najkonieczniejszą jest mieć w każdej parafji grono świeckich katolików, oświeconych, zdecydowanych, nieustraszonych, prawdziwych apostołów. — „Aby zdobyć te zastępy pomocników arcypasterzy i kapłanów—mówi kard. Faulhaber,— trzeba takich apostołów wyszukać, a następnie przysposobić ich do tej pracy przez odpowiednie ukształcenie. Gotowych nie znajdziemy. Z nieba nie spadają. Przygotowanie ich i urobienie to jedno z walnych zadań A. K., a środkiem do tego urządzanie specjalnych kursów, czy też rekolekcyj apostolskich, nastawionych do A. K."

Jakież są tedy warunki owocnego apostolstwa świeckich? Czyn katolicki zbiorowy, ujęty w wielkie ramy A. K., wymaga sprawnej, umiejętnej i sprężystej organizacji, jedności i karności, umiłowania sprawy, a co za tem idzie, niestrudzonej ofiarności, gorliwości i wytrwałości w pracy, oraz dużego zaparcia i bezinteresowności i wyrzeczenia się nietylko osobistego, lecz samej organizacji jako takiej, wedle słów Najdost. Ks. Metropolity Sapiehy w orędziu o A. K.

Nieodzownym warunkiem należytego apostolstwa jest uzgodnienie z katolickiemi zasadami życia naszego jednostkowego, rodzinnego i społecznego i odpowiednie ustusunkowanie się do zagadnień bieżącej doby, tak by — jak mówi Apostół — *„społeczność wiary naszej stała się jawna"* (*Filem.* w. 6). Chodzi o jednolitość, harmonję i logikę naszych poczynań, o życie

z wiary w myśl Pawłowego wskazania: *„Justus meus ex fide vivit"* (*Żyd.* X, 38). Nie może być dwutorowości ideologji i życia. Katolicyzm to nie frazeologja, szyld czy firma; to czynne rozumne i konsekwentne, codzienne i każdochwilowe, a wymagające nieraz bohaterstwa wyznawstwo. „Nie powinno być, czyto w nas samych, czy w życiu naszem, czegokolwiek, coby było niezgodnem z nadziemskim celem, który porządkuje nasze usiłowania" (*O. Bernadot*).

Do powodzenia A. K. i roztaczania szerszego wpływu koniecznem jest *nastawienie współczesne*, oczywiście nie w sensie naginania Kościoła do czasu i stosunków, przykrawania katolickich poglądów do bieżących zapatrywań i bezmyślnego, bezkrytycznego solidaryzowania się z duchem i prądami chwili, ale w tem znaczeniu, że nie można współczesności zapoznawać i nie brać jej w rachubę. Często spotykamy się w kołach katolickich ze skostniałym, zaskorupionym konserwatyzmem, który sprawie Bożej nieraz bardzo szkodzi i zraża do katolików. Nie mam tu — rzecz jasna — na myśli tych czy owych politycznych poglądów, lub też chwalebnego zachowywania religijnych czy narodowych tradycyj, lecz ową ciasnotę pojęć i zacofanie, które nie dopuszczają jakiejkolwiek zmiany czy nowości. Wzorem powinien nam tu być, jak zawsze, Kościół, który umie powiązać i kojarzyć przedziwnie tradycjonalizm z postępowością, 19 wiekową spuściznę z aktualnością, niewzruszoność zasad wiary i moralności z szerokim gestem i zasięgiem. Nie dając się unosić nurtowi dzisiejszego życia, należy bacznie nadsłuchiwać i wyczuwać jego tętno. Trzeba przystosować się do teraźniejszej psychiki i myśleć kategorjami nowoczesnemi, by nas obecne pokolenie zrozumiało i dało się wciągnąć w sferę naszego promieniowania, tak byśmy mogli, wedle wskazań arcypasterskich, szerzyć zasady Chrystusowe szeroko po za swem gronem. Zachowując rdzennie i nieskalanie katolicki światopogląd i stojąc na jego straży, musimy jednak mieć zrozumienie nowoczesnych metod działania. Starajmy się wycisnąć na współczesności katolickie piętno, przepoić ją chrześcijańskim duchem i w ten sposób nią owładnąwszy, dać jej odpowiednie ramy i pchnąć ją na właściwe tory. Zabezpieczając zasadnicze duchowe pierwiastki, zużytkowujmy tegoczesny rozmach i rozpęd, wytwórczość i zdobycze dla wyższych celów.

Obrona skuteczna praw Boskiego Władcy, których stróżem i rzecznikiem Kościół nasz święty, żąda od nas hartu i męstwa silnie utwierdzonych przekonań, niezłomnej stałości i nieustępliwości w rzeczach zasadniczych, oraz nie liczącej się z ludzkim względem wielkoduszności. Nadejść może chwila, w której trzeba będzie zdobyć się na bohaterskie ofiary.

Na X Zjeździe Katol. w Poznaniu, we wrześniu 1928 r. podniósł to J. E. Ks. Kard. Prymas, iż jawne prześladowanie u nas w Polsce wydaje się naszym katolikom niemożliwe. I dodał: *„Owszem, niemożliwe, ale o tyle, o ile do tego nie dopuścimy"*. Otóż, niestety, są aż nazbyt uzasadnione obawy, że katolicy nasi do tego dopuszczą, jeśli nie otrząsną się z dotychczasowej bierności i ospalstwa i nie porzucą wygodnego kwietyzmu. Nie tyle groźne są te czy owe wyczyny wyprawiających tu i owdzie próbne, a coraz śmielsze harce, wrogów Boga i Kościoła, ile przeraża obojętność, gnuśność i opieszałość ogółu naszych katolików, a jednocześnie rozłam ich i rozbicie, stwierdzone raz jeden więcej z okazji ostatnich wyborów. Miejmy jednak nadzieję, że z chwilą zorganizowania i w miarę rozwoju A. K. *„zniknie u nas typ katolików, którzy przejęci ciągłym strachem, ustępowali na każdym kroku i często swem postępowaniem wyrządzali większe szkody, niż nawet nieprzyjaciele"*.[8])

W celu wywołania tej pożądanej przemiany musimy—jak poucza wspomniany Arcypasterz — *dodać naszemu katolicyzmowi szerokości objęcia i odwagi przędsięwzięcia"*. Nie zasłaniajmy się tem, co się tak często słyszy, że w narodzie naszem tkwią głęboko, zakorzenione tradycje katolickie, że kościoły nasze są pełne i t. d. Po pierwsze, tradycje choćby najczcigodniejsze, same nie wystarczą, a powtóre, poczynają one u nas zanikać i to w dość szybkim tempie. I kościoły nie są tak zapełnione, jak nam się zdawać może na widok tej czy owej świątyni w czasie nabożeństwa i to najczęściej nie liturgicznego, lecz dodatkowego. Procent wiernych, uczęszczających do wiejskich parafjalnych kościołów, maleje z roku na rok, jak to niestety we wszystkich naszych dzielnicach, od lat szeregu, już zauważyć możemy. A zresztę pełne nawet kościoły i choćby

---

[8]) Ks. Metr. *Sapieha* w mowie w dniu poświęc. kam. węg. Domu Kat. w Krakowie.

najtłumniejsze procesje i obchody nie obronią naszego stanu posiadania. „Nie wolno nam oszukiwać siebie i swoich, że wszystko jest w porządku, ponieważ chodzimy w niedzielę do kościoła, spełniamy jakieś uczynki miłości bliźniego, lub urządzamy zebrania. To wszystko nic nie pomoże, nie zmieni faktu, że w życiu publicznem znaczymy strasznie mało"[4]). Nasz katolicyzm—mówi Ks. Bp. Kubina—jest naogół biernym, bez akcji, bez ruchu. Skutkiem tego w narodzie o tak znacznej katolickiej większości, w narodzie ze świetną tradycją katolicką, w narodzie, który powinienby stać na czele wielkiej rodziny narodów katolickich, jest katolicyzm jakby martwy, nie ma głosu, nie ma wpływu. Wróg nie śpi, sygnalizując raz po raz tem czy owem posunięciem swoją czynność. „Pewną jest rzeczą — podkreśla Krakowski Arcypasterz we spomnianem piśmie —, że względny pokój obecny, który nam się tak wygodnym wydaje, jest tylko pozorny i jest tylko maską, pokrywającą niecną robotę, jaką nasi nieprzyjaciele na zgubę naszą prowadzą". Potrzeba nam przeto uruchomienia i wytężenia wszystkich sił, użycia wszelkich środków, jakie są w naszej mocy, by nie dopuścić do podważenia podstaw katolickiego ustoju i zatarcia chrześcijańskiego charakteru rodziny, jako też instytucyj społecznych, oświatowych i dobroczynnych. Każdy z nas bez wyjątku stanąć musi w okopach i śledzić pilnie ruchy i manewry nieprzyjaciela. Umiejmy spojrzeć w oczy jawnemu napastnikowi, jak również rozpoznać wroga pod spuszczoną przyłbicą.

Tak praca jak walka domaga się od apostołów A. K. gruntownego uświadomnienia katolickiego i pogłębienia wiedzy religijnej wraz ze spotęgowaniem życia nadprzyrodzonego. Musimy nauczyć się myśleć, czuć i działać po katolicku i wedle słów Ks. Metropolity, „obejmować ogół spraw i interesów, obchodzących katolików i Kościół w danej parafji, diecezji, czy kraju". („*O Akcji Kat.*") Nie wystarcza dziś poprzestać na pracy na poszczególnym odcinku, lecz trzeba orjentować się w całokształcie katolickich zadań postulatów uświadamiając sobie jasno obowiązki nasze we wszystkich dziedzinach życia prywatnego i publicznego. Katolikiem, tem pełnowartościowym, jest się wszę-

---

[4]) Ks. Mäder „Katolikiem jestem".

dzie i zawsze, albo nigdzie i nigdy. *Tertium non datur.* A. K. winna być powszechną i szeroką zakreśloną, bo nic niema na świecie, coby nie oczekiwało pomocy Kościoła,

Musimy doprowadzić do tego, by wykształcenie religijne stało na poziomie wiedzy świeckiej i ogólnej kultury. Postulat to minimalny. Ze znajomością prawd religijnych łączyć trzeba życie wewnętrzne, pracę nad sobą. „Pełne życie katolickie wymaga podwójnej czynności: wewnętrznej i zewnętrznej. Pierwsza polega na przyjmowaniu sił Chrystusowych w siebie, aby pozostać z Nim w łączności, a druga na rozdawaniu tych sił innym, aby i oni stali się członkami Chrystusa“.[5]) Wśród ogólnego zeświecczenia i zmaterjalizowania i w przeciwieństwie do społeczeństwa, ufającego dziś zbytnio środkom i metodom czysto przyrodzonym, musimy być głęboko przeświadczeni, że ludzkość odrodzą jedynie nadprzyrodzone czynniki i wartości. „Świat potrzebuje najpierw łaski Jezusa Chrystusa — mówi wspomniany już O. Bernadot Z. K. — mądrości, która rozkazuje i miłości, która jednoczy. Niema w naszem społeczeństwie takiej potrzeby, którąby nie przyzywała daru Bożego.“

Obok skrajnie przyziemnych dążeń i przejawów i przeceniania fizycznych wartości uwydatnia się dziś pęd ku metafizyce, zbaczający niestety nieraz na manowce teozofji i spirytyzmu, tudzież głód nadprzyrodzoności i świętości. Znamionującemu czasy obecne przerostowi ćwiczenia i usprawnienia ciała przeciwstawić trzeba conajmniej współczesny rozwój kultury duchowej.

Jedną z wielu przyczyn osłabienia życia religijnego jest zapoznanie przez samychże katolików płodności duchowej chrześcijańswa, mianowicie dogmatu o Kościele jako ciele mistycznem Chrystusa, a więc łaczności członków jego z Głową i między sobą, który to moment uwydatniał się tak silnie w pierwotnym Kościele. *Albowiem w jednem Duchu* — mówi Apostoł narodów — *my wszyscy w jedno ciało jesteśmy ochrzczeni ...a wszyscy jednym duchem jesteśmy napojeni*“ (I Kor. XII. 13). Nie dość uświadamiamy sobie to, że jesteśmy tego ciała żywemi i współodpowiedzialnemi członkami. Doskonale określił jedno z głównych niedomagań katolicyzmu w Polsce, ongi jesz-

---

[5]) Ks. Bp. Kubina.

cze za czasów naszej niewoli, jeden z wybitnych świeckich katolików:[6]) „Istnieje wprawdzie dla nas Kościół, ale ponad nami, więc poza nami, zamiast istnieć także w nas." To też jednem z pierwszych i najważniejszych zadań A. K. to *skatoliczenie* — brzmi to parodoksalnie — *naszych „katolików"*, owa *Erziehung Kirchlichkeit,* że użyjemy tu znamiennego w ustach protestanckiego pastora wyrażenia na odbytym w październiku 1930 r. kongresie kościelnym w Saarbrücken.[7]) Pożądanem byłoby urządzenie w poszczególnych ośrodkach A. K. cyklu odczytów z dziedziny eklezjologji z uwzględnieniem tych zwłaszcza dogmatów, które są w najściślejszym związku z A. K.

Dla naszego własnego dobra i postępu duchowego jako też w interesie A. K. należałoby już raz zerwać z wybujałym indywidualizmem i subjektywizmem, które czynią z naszej pobożności jakiś kult prywatny i czysto osobisty, a przeniknąć się do głębi społecznym charakterem katolicyzmu, by nadać życiu religijnemu odpowiedni kierunek i zabarwienie. W celu wyrobienia w sobie katolickiego uniwersalizmu i zmysłu społecznego ugruntować musimy życie nasze religijne na liturgicznem podłożu, a więc na współżyciu z Kościołem. Na czem bowiem polega życie liturgiczne?

Na tem, by myśleć, czuć i modlić się z Kościołem. Do czego zmierza tak rozwijający się ruch liturgiczny? Do tego, by przywrócić chrześcijanom utraconą w wiekach indywidualizmu świadomość ich jedności w Chrystusie[8]). W wydanej w grudniu 1929 r. Konstytucji apostolskiej *„Divini cultus"* wskazał Pius XI na liturgję jako na źródło nadprzyrodzonej siły żywotnej A. K. Przyjmując zaś 19 września 1930 r. 50 kapłanów, którzy jako asystenci kościelni A. K. uczestniczyli w specjalnie dla nich urządzonym tygodniowym kursie, podkreślił Namiestnik Chrystusowy szczególną doniosłość omawianych na nim tematów. Otóż na pierwszem miejscu znalazła się *„Akcja Katolicka*

---

[6]) Prof. dr. Feliks Koneczny na wiecu katol. w Krak. w 1893 r.

[7]) Omawiając kryzys niemieckiego protestantyzmu, nawoływał pastor Wehr swych współwyznawców do naśladowania katolików, wychowujących się w duchu Kościoła (zob. „Przegl. relig." w „Głosie Nar.", № 279, r. 1930).

[8]) Por. D. A. Rousseau'a sprawozd. z I Międzyn. Kongr. Liturg. w Antwerpji („Revue Liturg. et Monast.", nr. 7, 1930).

i kultura liturgiczna". Telegram z błogosławieńskiem apostolskiem, przesłany na I międzyn. Kongres liturgiczny w Antwerpji, w lipcu 1930 r., wyraża mocne przekonanie Ojca św., że akcja liturgiczna stanowi potężną pomoc w dziele odrodzenia chrześcijańskiego.

Nic nie spaja nas tak ściśle z Kościołem, nic tak nie ukształca katolickiego zmysłu jak msza święta i przepiękna liturgja, która wkłada nam w usta i serca natchnione przez Ducha św. modlitwy Oblubienicy Chrystusowej, a naszej Matki. To też jeden z wybitnych krzewicieli życia liturgicznego, mówiąc o jego odrodzeniu się w naszych czasach, zaznacza: *„Zaszedł fakt nieobliczalnej doniosłości: Kościół obudził się w duszach"*. [9]).

„Świadomie tkwić w Kościele i z niego ciągnąć soki żywotne" [10]) to przedewszystkiem wskazanie odnoszące się do kierowników i pracowników A. K. — „Akcja liturgiczna ma, wedle słów J. E. Kard. Prym. Hlonda, rozwijać w sercach te boskie siły, z których rodzi się wielki zewnętrzny czyn katolicki".[11])

A. K. winna pogłębiać w swych członkach ideę braterstwa naszego w Chrystusie i nadprzyrodzonego solidaryzmu. Zacieśniajmy łączące nas węzły; wyrównujmy tó, co nas dzieli... Odnośmy się jedni do drugich co najmniej życzliwie...

Jak wewnętrzna spoistość Kościoła naszego wypływa z jego ścisłego ustroju hierarchicznego, tak jedność duchowa, a co za tem idzie, żywotność i płodność A. K., „wprowadzającej — wedle słów Ks. Matrop. Sapiehy—świeckich katolików w zadania pracy duszpasterskiej Kościoła", będzie owocem jej mocnego oparcia o hierarchję, oraz najściślejszej z nią łączności i zgodnego współdziałania.

Rzeczą niemałej wagi wydaje mi się roztropny i umiejętny zestrój i należyte unormowanie, w ogólnym planie życia i w roz-

---

[9]) Romano Guardini „Des Geist der Liturgie".

[10]) Zob. "Życie z Kość.", № 6 „Myst. Chr." 1930. — Dla ułatwienia ogółowi wiernych współżycia z Kościołem zaczęła redakcja „Mysterium Christi" w Krak. wydawać z nastaniem adwentu, na każdą niedzielę, 8 stronicową broszurkę „Służba Boża" z odnośnym tekstem mszalnym i objaśnieniami.

[11]) Zob. list J. E. na wstępie 1-go w tym roku kość. n-rze „Myst. Chr.".

kładzie dnia każdego, modlitwy i pracy. Słusznie bowiem powiedziano, że „u nas ludzie zapracowani sądzą, że nie potrzebują się modlić, a zaś pobożni myślą, że nie trzeba pracować." [12]).

Musimy wreszcie ożywić A. K. nutą i przepoić atmosferą nadprzyrodzonego wesela i ufności, polegającej na wierze w moc Bożą i na *„zwycięskiej świadomości własnych sił"* [13]) naszych jako katolików. Potrzebujemy dziś bardziej niż kiedykolwiek jasnych duchów i oblicz promiennych, weselących się z prawdy i rozpogodzonych nadzieją triumfu Bożej sprawy.

Jawnym napaściom, oraz czajeniu i zakradaniu się pod mury twierdz naszych, zamaskowanych wrogów, przeciwstawić winniśmy *zwarty, jednolity i solidarny front katolicki.* On jeden — jak wyraził się J. E. Kard. Prymas — zdolny jest złamać przeciwnika. Co nam katolikom najwięcej przeszkadza w rozwinięciu wydatnej działalności i w przejściu do ofensywy? Oto obok tchórzostwa i małoduszności nieufność w nasze siły i ich niedocenianie. Trafnie ujął to ktoś w tych słowach: Dobro się lęka. Drży przed garścią sekciarzy, jak niegdyś Piotr przed szyderstwem i pogróżkami służebnych... *„Frontosus esto"*, śmiałym bądź, nie wstydź się Chrystusa — mówił do wiernych w Hipponie św. Augustyn. Jeśli słyszysz występujących przeciw Chrystusowi lub Kościołowi, to zwłaszcza wtedy bądź śmiałym, *prorsus esto frontosus.* Dlaczego lękasz się o swoje czoło, naznaczone znakiem krzyża?" (In Ps. 78).

Nie dość pamiętamy o tem, iż jak przez chrzest św. staliśmy się poddanymi Chrystusa Pana i obywatelami Jego tu na ziemi Królestwa, tak bierzmowanie miało wytworzyć w nas „budowniczych tegoż królestwa", a zarazem bojowników za Jego sprawę. Sakrament ten poświęcił nas—podług wyrażenia wspomnianego już Arcypasterza monachijskiego—na powszechne kapłaństwo i posłał na pełnienie misji apostolskiej. Akcja Kat., będąca w pewnej mierze uczestnictwem w kapłaństwie Chrystusowem, ma nam to właśnie żywo uprzytomnić i wedle słów Ks. Bpa Adamskiego na IX Tyg. Społ. w Lublinie, pasować po raz trzeci członków swych organizacyj na rycerzy Chrystusowych, a uświadamiając ich zarazem—jak poucza znów krakowski Arcy-

---

[12]) „Z ruchu liturg." („Myst. Chr." nr. 6, str. 35).

[13]) Ks. Bp. Prohászka „Rozm. o Ewang.".

pasterz,—że działalność, jakiej się podejmują, polega na mandacie danym im przez samego Chr. Pana, do czego też otrzymują potrzebne łaski („*O Akcji Kat.*"). „Mamy nietylko dać się uchwycić w sieci rybaków apostołów z nad jeziora Genezaret,—jak mówi Kard. Faulhaber,— ale sami winniśmy też stać się łowcami dusz". „Cel ten apostolski (Akcji Katol.) odróżnia ją nietylko od czysto ziemskich poczynań ludzkich, ale nawet od innych prac religijnych" *(Ks. Metr. Sap.)*.

„Kto jest członkiem jakiegoś organizmu—powiedział jeden z głębokich myślicieli *(Pascal)* — musi żyć duchem tego ciała, w skład którego wchodzi i musi żyć dla niego". Katolikom w Polsce brak dotąd tego, co Francuz zowie *esprit de corps*, a co w języku Kościoła, tej według św. Ambrożego mowie naszej rodzinnej, *„lingua ni qua nati sumus,* określają słowa: *spiritus collectivus.*

Św. Anzelm zapewnia, że Chrystus Pan niczego tak nie pragnie jak wolności Oblubienicy Swej Kościoła św. Zabezpieczył mu i poręczył boskiem Swem słowem byt jego i trwanie, lecz do nas—nietylko do sterników łodzi Piotrowej i pasterzy trzody—należy strzec jego swobody i niezależności i walczyć o nią w razie zagrożenia.

Chcemy przeto i mamy wszelkie prawo, co więcej obowiązek ścisły, domagać się w niepodległej Ojczyźnie naszej, zupełnej wolności Kościoła. Powinnością sumienia naszego jest starać się o to, by w przedstawicielstwie narodu zasiadali posłowie, dający nam rękojmię, że będą stali niewzruszenie na straży najżywotniejszych interesów katolickich. Chcemy i będziemy dążyli wszelkiemi siłami, pod przewodem Episkopatu, do rozwoju A. K., a tem samem do rozbudowy życia katolickiego, do stworzenia jednolitego światopoglądu, opinji i orjentacji, do skupienia wysiłków poszczególnych jednostek i zrzeszeń w jednym wielkim zbiorowym czynie, a jednocześnie do utrzymywania starszych i młodszych hufców w szyku i rynsztunku bojowym.

Akcja Katol. droga Ojcu św., „jak zrenica oka", leżąca na sercu Najdost. naszym Arcypasterzom, ma ukształcić wyznawców-apostołów, uzdolnionych do twórczego czynu, zaprawionych i zawsze gotowych do walki. Wszyscy winniśmy spotkać się niezawodnie na każdym odcinku, na którym zagrożoną byłaby jaka-

kolwiek dziedzina życia katol. i zakwestjonowany nasz stan posiadania.

Prześladowania się nie lękamy. *Sancti plantaverunt Ecclesiam in sanguine suo.* Kościół wychodził zawsze z krwawych zmagań zwycięsko, a przelana krew męczenników opromieniała go jeszcze większym blaskiem i była, od zarania chrześcijaństwa *„semen christianorum"*, posiewem nowych pokoleń wyznawców-bohaterów. I my, gdyby do otwartego prześladowania kiedyś przyszło, przetrwamy je przy Bożej pomocy i mężnie stawimy mu czoło, mając zresztą tak piękne w narodzie naszem tradycje z czasów niewoli. Nie naszą jednak rzeczą do prześladowania dopuszczać i je wrogom Kościoła ułatwiać.

W czasie wszechświatowych zapasów i w powojennym okresie byliśmy świadkami wielkich wstrząsów i przeobrażeń, które odmieniły oblicze Europy. „Co się wyłoni z tych zwalisk"? pytał, wobec przewrotów w XIX wieku, wielki chrześcijanin, o którego wyniesienie na ołtarze wszczęto już starania. Czując, iż rozpada się przeszłość i załamują się podwaliny starej budowy, zastanawiał się nad tem, czy społeczeństwo pozostanie pod szczątkami obalonych tronów, czy też powstanie odrodzone, piękniejsze i wspanialsze. I oto odpowiedź na to dręczące pytanie: „Ponieważ wierzę w Opatrzność i nie wątpię o żywotnej sile mej Ojczyzny, przeto ufam, iż społeczeństwo się odrodzi... Niech katolicyzm ożyje znów w świecie w całej swej młodzieńczości i sile i niech stanie na czele nowej ery". Tak mówił Fryderyk Ozanam i to właśnie jest zadaniem A. K. Pojęta, zorganizowana i przeprowadzona w myśl wskazań Stolicy św., pod kierunkiem naszych Arcypasterzy, ma być zasiewem przyszłości, zapowiedzią, rękojmią, a zarazem zapoczątkowaniem odrodzenia katolickiego na całej linji. Warunkiem i podstawą tej chrześcijańskiej odnowy i odbudowy, oraz *rekatolizacji społeczeństwa*, to panowanie Chrystusa Króla. *„Tolerują Go tylko* wołał O. Doncoeur na zgromadzeniu francuskich katolików, — *a my chcemy, żeby panował!"* Toczmy o to królowanie *„dobry bój wiary"* (I *Tym.* VI, 12) w szeregach A. K., w Jego Imię i pod Jego sztandarem a przewodnictwem świętej Matki naszej Kościoła: „Musimy iść na plac budowy wszyscy... Niema bezrobotnych"! (Ks. *Mäder*). I na polu walki nikogo braknąć nie może!

— — — — — — — — — — — — — — —

Wszyscy pod broń i do apelu! Musimy przetworzyć katolicyzm tradycyjno-zwyczajowy, nastrojowo-uczuciowy, zbyt miałki, powierzchowny i formalistyczny—w wyrozumowany, uświadomiony, pogłębiony i konsekwentny, odświętny—w katolicyzm dnia powszedniego; oportunistyczny i chromający na dwie strony—w bezkompromisowy i prostolinijny; lękliwy, śpiący, niedokładny i zastygły—w bojowy, czujny, zdobywczy, twórczy i przedsiębiorczy! Stulecie bieżące — mówi wybitny myśliciel katolicki — wchodzi w okres nader ciężkich konfliktów, które porównać można z walkami za czasów apostolskich w Rzymie Cezarów.[14]) Trzeba nam tedy wzbudzić na nowo do życia i wcielić w czyn przepiękną i tak płodną w pierwszych wiekach Kościoła ideę apostolstwa wiernych. Przywrócenie w świecie chrześcijańskiego ładu i porządku, kultury i obyczajności, w przeciwieństwie do panującej anarchji i radykalizacji, jako też wzrost Kościoła w poszczególnych krajach, zależy od tego, czy my katolicy zrozumiemy tę misję, wypływającą z żywej i czynnej wiary, a zleconą nam przez Stolicę św. za pośrednictwem naszych Arcypasterzy, i czy ją należycie wypełniamy. *„Hora est, jest godzina, byśmy*—wedle słów apostoła—*ze snu powstali"* (*Rzym.* XIII,11), *„czas odkupując, iż dni złe są"* (*Efez.* V,16). Pomimo to podnosimy w górę serca z ufnością i otuchą dlatego, że mamy je zwrócone ku Panu. *„Hebemus ad Dominum".*

Helena Lutostańska.

WYZWOLENIE.

O precz odemnie obłąkane tony,
co serca ludzkie smutkiem rozszczepiacie!
Biłem wam wczoraj niepewne pokłony
niewolnik w czarnej romantyzmu szacie.
Lecz dzisiaj — boski ból mi zamknął rany
i pierś nasrożył, jak pióra sokole,
jestem Chrystusa szatami odziany
i już na własną nie zapłaczę dolę.
Już we mnie radość buchnęła tworząca
i jak dom ciasny rozpycha i szerzy —
Idę przed siebie spokojny, w blask słońca,
w szeregu mocnych, zwycięskich żołnierzy.

1930. *TADEUSZ KORDYASZ.*

---

[14]) Maritain „L'unité de la culture chrétienne.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Przeciwko projektom rozwodowym.

Podnosząc w czerwcowym zeszycie Przeglądu Powszechnego kwestję ślubów cywilnych, z miejsca zaznaczyłem, że odróżniam od niej zagadnienie rozwodów. Jeżeli wywody moje doprowadzały do wniosku, że w państwie naszem trudno będzie uniknąć całkowicie ślubów cywilnych, to zaznaczyłem przytem, że dopuszenie takich ślubów nie musi pociągnąć za sobą dopuszczenia rozwodów. Zagadnieniu rozwodów poświęcam niniejsze rozważania.

Zdawaćby się mogło, że co do kwestji rozwodów winnaby panować w obozie katolickim zupełna jasność i zgoda. Nauka Kościoła katolickiego, jego dogmatyka i prawo kanoniczne są tak wyraźne i niedwuznaczne, że właściwie nie pozostawiają miejsca na dyskusję. W rzeczywistości tak nie jest. Różnica ustaw, istniejących w różnych dzielnicach, wpływ zapatrywań akatolickich na opinję katolików, praktyka uzyskiwania rozwodów różnemi krętemi drogami i przedstawianie ich przez beletrystykę i prasę codzienną jako czegoś całkiem naturalnego i zwyczajnego—te wszystkie czynniki wprowadziły niepojęty chaos do głów nawet katolickich, tak że się spotykamy z zupełnie dzikiemi zapatrywaniami na kwestję rozwodów i z brakiem jasnego programu akcji wobec lansowanego projektu dopuszczenia cywilnych rozwodów do naszego prawodawstwa dla całego kraju. Wszak spotyka się u nas typ inteligenta, odzywającego się mniej więcej w następujący sposób: „Proszę Pana, ja jestem dobry katolik, ale w kwestji małżeństwa mam inne zapatrywania, niż księża; mojem zdaniem na rozwody Kościół powinien się zgodzić, a jeśli sam ich nie może udzielać, niechaj pozostawi to państwu, bo takie są czasy, takie obyczaje, i nikt na to nic nie poradzi. Zresztą poco utrudniać życie ludziom, nie znajdującym szczęścia w swojem małżeństwie?" Taki dobry katolik zdaje się nie domyślać, że on swoje (oby swoje) zdanie przeciwstawia nie „zdaniu księży" ale nieomylnej nauce Koscioła, a zatem sam się z tego Kościoła wyklucza, poza nim stawia. Celem niniejszego artykułu będzie przypomnieć pokrótce, bez wdawania się w wy-

czerpujące dowodzenia, naukę Kościoła katolickiego o nierozerwalności małżeństwa, by z niej wyprowadzić wskazania praktyczne, jak się musi dobry katolik zapatrywać na rozwody w prywatnych stosunkach, a następnie—co ważniejsze jeszcze—jakie racje rozumowe przemawiają przeciwko dopuszczeniu rozwodów, a zatem po jakiej linji powinna iść nasza akcja publiczna wobec projektowanej reformy prawa małżeńskiego, która ma nas obdarzyć także rozwodami.

Nauka Kościoła katolickiego o nierozerwalności związku małżeńskiego jest jasna. Oto, co w niej znajdujemy:

1. Że małżeństwo, zawarte ważnie między ochrzczonymi i czynem małżeńskiego obcowania dopełnione, rozwiązuje się tylko przez śmierć (kan. 1118 Kodeksu prawa kan.). Kościół nie posiada żadnej władzy ani żadnych od Boga pełnomocnictw do zmienienia czegokolwiek pod tym względem, lub do robienia jakich bądź wyjątków.

2. Kościół katolicki zna rozwiązanie ważnego małżeństwa chrześcijańskiego (lub mieszanego: chrześcijanina z niechrześcijaninem), jeżeli ono nie jest czynem dopełnione, w razie złożenia przez jednego z takich współmałżonków uroczystej profesji zakonnej, lub przez dyspensę Stolicy św., dawaną ze słusznych przyczyn (kan. 1119 Kodeksu prawa kan.). Są to jedynie wyjątki od zasady nierozerwalności w związkach ważnych, w których przynajmniej jedna strona jest ochrzczona. Z naciskiem trzeba powtórzyć, że chodzi tu o małżeństwa nie spełnione czynem małżeńskiego fizycznego stosunku. Tutaj także musimy dodać, że w razie dopuszczenia się oszukaństwa przez strony, starające się o podobne rozwiązanie zawartego związku, naprzykład fałszywe stwierdzenie rzekomego niedokonania małżeństwa, takie rozwiązanie, choćby papieskim aktem stwierdzone, nie posiada żadnego znaczenia wobec wewnętrznego trybunału, trybunału sumienia i Boga.

3. Małżeństwo, zawarte według naturalnego tylko prawa Bożego między osobami nieochrzczonemi, Kościół katolicki uznaje za naturalnie ważne (legitima) i naturalnie nierozerwalne. Dopuszcza jednak wyjątek tak zwanego „przywileju Pawłowego" w stosunku do osób, przyjmujących chrzest święty, jeśli strona zostająca nadal w pogaństwie nie zgodzi się żyć z chrześcijańskim małżonkiem (czy małżonką) w zgodzie bez obrazy Bożej—

w takim razie rozrywa się małżeństwo, zawarte w pogaństwie w określony przez prawo kanoniczne sposób (kan. 1120 do 1127).

4. Kościół konsekwentnie nie może uznać za ważny żadnego związku, któryby był zawarty czy cywilnie, czy wobec przedstawiciela jakiegoś wyznania, jeżeli jedna czy obie ze stron są związane innym związkiem małżeńskim wobec Kościoła ważnym, chociażby on został rozwiązany wyrokiem sądu cywilnego lub władz jakiegoś wyznania akatolickiego.

W tych kilku punktach katolik otrzymuje jasną wskazówkę dla swojego prywatnego, religijno-moralnego stosunku do własnych i cudzych nawet związków małżeńskich. Musi rozumieć, że jeśli jego, czy też kogoś innego małżeństwo posiada wszystkie warunki, które je czynią ważnem wobec Kościoła katolickiego, to—poza wspomnianymi w punktach drugim i trzecim wyjątkami—niema takiego sposobu uwolnienia się od tych więzów, któryby uzyskał uznanie ze strony Kościoła, a zatem dał możność wstąpienia w nowe związki małżeńskie. Musi jasno sobie zdać z tego sprawę, że żadne ustępstwa tych zasad, poczynione przez inne wyznania albo ewentualnie przez prawo cywilne, nie mogą wpłynąć i nie wpłyną na stanowisko Kościoła, ani też upoważnić katolika w sumieniu do nieliczenia się z nauką i prawem prawdziwego Kościoła Chrystusowego.

To stanowisko katolickie winien sobie uświadomić i z niem, jeśli katolikiem prawdziwym być pragnie, musi się solidaryzować każdy wierzący. Tak jest w katolickim Kościele i tak będzie. Przypuszczenia zatem czynione przez pewnych „dobrych" katolików, a nawet publicystów, że Kościół katolicki, zmieniwszy kiedyś swoją naukę pod tym względem, stanie się bardziej ustępliwy pod naporem czy to opinji publicznej, czy nowych obyczajów, czy jakichś konieczności społecznych—przypuszczenia takie zdradzają grubą nieznajomość istoty dogmatu katolickiego. Są nadto szkodliwą iluzją, zwłaszcza gdy są wypowiadane publicznie wobec mało uświadomionych co do nauki kościelnej ludzi, których w ten sposób utrwala się w błędzie. Zwolennik rozwodów, jeśli zna naukę Kościoła katolickiego o małżeństwie, a jest czy chce być uczciwym człowiekiem i uczciwym publicystą, winien wtedy, kiedy za rozwodami przemawia lub o nich pisze, lojalnie zaznaczyć, że na żadne ustępstwo pod tym względem ze strony Kościoła katolickiego nie można liczyć i że prawo o rozwodach można

przeprowadzić jedynie wbrew temuż Kościołowi, narażając się na wszystkie następstwa takiego wystąpienia przeciwko dogmatowi katolickiemu.

O ile w praktyce istnieje już, albo zostanie dopuszczona taka sprzeczność między prawem cywilnem a Kościołem wierzący katolik wyciągnie z niej właściwe konsekwencje. Związki, które dzięki prawu rozwodowemu zostały zawarte z osobą związaną innemi związkami, uważanemi przez Kościół katolicki za trwające, muszą być uznane przez katolika za nieważne wobec Kościoła, zatem za pożycie nieprawe, względem których trzeba będzie zająć odpowiednie stanowisko nawet w stosunkach towarzyskich, jakie zwykliśmy zajmować względem ludzi, którzy podeptali święte dla nas zasady i prawa.

Takiem będzie zapatrywanie prywatne wierzącego i dobrego katolika na rozwody i powtórne po nich małżeństwa. Teraz pozostaje nam do rozpatrzenia ważniejsza kwestja: jakiem ma być jego stanowisko, jako obywatela państwa wobec projektowanej ustawy rozwodowej.

Jako obywatele demokratycznej Rzeczypospolitej polskiej, jesteśmy albo powołani do tworzenia ustaw państwowych jeśli należymy do rządu, do ciał prawodawczych lub komisyj im podporządkowanych, albo jeśli bezpośredniego w tej pracy udziału nie bierzemy, to mamy prawo i poniekąd obowiązek czuwać nad jej biegiem i kierunkiem i wpływać na nią bezpośrednio, przez urabianie opinji publicznej, stawianie żądań naszym posłom i partjom politycznym pod zagrożeniem nawet odmówienia im w przyszłości naszych głosów wyborczych, jeśliby postępowali wbrew naszym zasadom i naszej woli. Między innemi problemami, które nam jako myślącym i odpowiedzialnym obywatelom państwa narzuca chwila obecna, znajduje się także problem prawa małżeńskiego dla całej Polski a w nim zagadnienie specjalne czy dopuścić rozwody, dla kogo, w jakiej mierze, czy też wcale ich nie dopuścić i znieść je tam nawet, gdzie one na mocy odziedziczonych ustaw istnieją?

Spróbójmy odważnie spojrzeć w oczy temu zagadnieniu.

Najpierw musimy żądać od państwa, aby się powstrzymało od wszystkiego, coby sprzeciwiało się zasadzie nierozerwalności małżeństwa katolickiego. Zatem pierwszy postulat, jaki winniśmy usiłować przeprowadzić w cywilnem prawie małżeńskiem,

to skasowanie rozwodów, udzielanych katolikom przez sądy państwowe w pewnych dzielnicach Polski (w b. zaborze pruskim).

Drugim postulatem będzie niedopuszczenie w przygotowującej się ustawie dla całego Państwa rozwodów dla katolików, Kościół katolicki w Rzeczypospolitej rządzi się według brzmienia konstytucji „własnemi prawami", zatem przysługuje nam nietylko religijne, ale konstytucyjne prawo żądania, aby prawodastwo państwowe nie stwarzało ustaw, któreby były jawną pogardą i podeptaniem owego prawodastwa katolickiego kościelnego.

Obrońcy rozwodów wprawdzie zastrzegają się, że prawodastwo świeckie, dopuszczając rozwody, nie narzuca ich katolikom, nie zamierzającym się rozwodzić, a zatem w sumieniach dobrych katolików, wiernych swemu kościołowi, nie wywołuje żadnych kolizyj. Jeżeli chodzi o „kolizję" w duszach osobników, to i ja jej nie widzę, i sądzę, że niedołężnie argumentują ci obrońcy nierozerwalności małżeństwa, którzy o takiej kolizji piszą, jakby katolik przy istnieniu cywilnych rozwodów był w przykrej sytuacji, nie wiedząc, którego prawa słuchać, świeckiego czy kościelnego. Kolizji takiej rzeczywiście niema, boć prawo cywilne, dopuszczające rozwody, nie nakłada na nikogo obowiązku rozwodzenia się, ale zachodzi przy istnieniu rozwodów cywilnych katolików co innego, mianowicie objektywne lekceważenie prawodawstwa kościelnego przez państwo, nie uważanie sobie tego prawodawstwa w tak ważnej rzeczy za nic branie pod swoją wysoką opiekę i protekcję i czynne przeprowadzanie przez państwo takich aktów, które religja katolicka jak najkategoryczniej potępia, których ważności i waloru uznać nigdy nie może, jako aktów, sprzeciwiających się naturalnemu i pozytywnemu prawu Boga. Taki stosunek państwa do religji katolickiej i Kościoła musi wywoływać w duszy obywatela-katolika uczucie niesmaku i żalu do państwowej organizacji, spotęgowanej jeszcze bardziej tem, że głosi się jakby na żart, o „pierwszeństwie religji katolickiej między równouprawnionemi wyznaniami" i robi się jej pewne honory przy uroczystościach narodowych. Już więc nietylko z pobudek religijnych, ale nawet poczucia lojalności i uczciwości, z jakiemi państwo polskie winno się odnosić do katolicyzmu, jako religji olbrzymiej większości obywateli i do Kościoła, jako organizacji, bez której niema katolicyzmu, obywatele katolicy winni użyć wszystkich swych wpły-

wów i zjednoczyć swe wysiłki w tym kierunku, aby państwo w zakresie prawodastwa małżeńskiego, o ile ono dotyczy katolików, ograniczało swą kompetencję jedynie do skutków czysto cywilnych, małżeństwa, jak to państwu przyznaje prawo kanoniczne (kan. 1016), pozostawiając samą istotę związku jego nierozerwalność, przeszkody i t. d. jurysdykcji kościelnej. W prawie małżeńskiem cywilnem wystarczy w tym celu jeden krótki artykuł: „małżeństwo katolików co do samego węzła, warunków zawarcia, trwania, są regulowane przez prawo Kościoła katolickiego".

Atoli sądzę, że nie wystarczy przeprowadzenie w prawodastwie małżeńskiem katolickiego żądania jedynie odnośnie do małżeństw samych katolików. Nie możemy bowiem, jako obywatele pozostać obojętni na to, jakiem będzie prawo małżeńskie dla innych obywateli państwa. Chodzi tutaj nie o prywatne jakieś sprawy bezpośrednio zainteresowanych, ale o instytucję, stanowiącą o moralnem zdrowiu narodu, o spoistości rodzin, odbijającą się dodatnio lub ujemnie, według tego jaką sama będzie, nawet na gospodarczym stanie, społeczeństwa, na politycznej jego zwartości i odporności. Jeśli w czem, to w tej sprawie desinteressement katolików byłoby dla całości społeczeństwa zgubne. Wyobraźmy sobie abstynencję katolickich posłów przy wypracowywaniu i uchwaleniu prawa małżeńskiego w suppozycji nawet, że katolicy niem nie są objęci. Czyż nie oddalibyśmy całej tak ważnej sprawy w ręce najbardziej wywrotowych żywiołów, a te zapewne obdarzyłyby Polskę „małżeństwami" na modłę bolszewicką znaną choćby z komedji „Kwadratura koła"? A co nam poręczy, że taka zgnilizna moralna nie zarazi niebawem nas samych, że się nie stanie nieprzepartą pokusą dla słabych dusz do apostazji od Kościoła o surowych zasadach moralnych i prawnych, aby sobie otworzyć furtkę do zmysłowej wolności? W kwestji rozwodów nie wolno katolikom, jako obywatelom państwa, ograniczyć się jedynie do zawarowania własnych praw — nie wolno bowiem być obojętnymi na anarchiczne stosunki u innych grup obywateli z którymi żyć muszą w jednym organizmie państwowem, a zatem podlegać wpływom ich obyczajów. Musimy zatem, według najlepszego swego rozumienia, dbać o dobro całości państwa, a zatem być aktywnymi budowniczymi jego prawodastwa, nie zaś biernymi tylko obserwatorami cudzej roboty.

Otóż w tym charakterze odpowiedzialnych za losy całego społeczeństwa obywateli winniśmy postawić żądanie: wykluczenie z prawodastwa polskiego rozwodów dla małżeństw prawnie i ważnie zawartych bez względu na wyznaniową przynależność małżonków.

Może tak ogólne żądanie wyda się zbyt daleko idącem narzucaniem wszystkim specjalnie katolickiej zasady? Zaraz zobaczymy, że za niem przemawiają bynajmniej nie same względy katolickiej dogmatyki, ale racje, które winny przekonać każdego człowieka dobrej woli.

Prawda, że całkowite wykluczenie rozwodów idzie po linji nauki katolickiej. Według streszczonej powyżej nauki Kościoła wszelkie małżeństwo, ważnie zawarte między chrześcijanami (choćby niekatolikami) jest związkiem sakramentalnym, podlegającym wprawdzie, dopóki czynem nie zostało spełnione, dyspensacji najwyższej władzy kościelnej, papieża, absolutnie jednak nierozerwalnym po dokonaniu czynem. Rozwiązanie przez papieża lub przez profesję zakonną małżeństwa ważnego ale niedopełnionego trafia się w tak wyjątkowych, jedynie katolików obchodzących wypadkach, że państwo może nie uwzględniać ich w swojem prawie ogólnem. Małżeństwa, zawarte między osobami nieochrzczonemi, jakkolwiek nie są sakramentem, są według nauki katolickiej z samego prawa naturalnego nierozwiązalne. Jedyny wyjątek czyni Kościół na rzecz wiary chrześcijańskiej, rozwiązując małżeństwo świeżo ochrzczonego, jeśli pozostała poza chrześcijaństwem strona nie zgadza się żyć spokojnie z nawróconym do chrześcijaństwa małżonkiem. Ten wyjątek mógłby być w prawie świeckiem uwzględniony bez sprzeniewierzenia się ogólnej zasadzie nierozerwalności małżeństwa. Prawo kanoniczne obstawia go takiemi klauzulami, że nie stanie się on groźny dla samej zasady, katolicy, domagając się nierozerwalności małżeństwa dla wszystkich, będą to czynili zgodnie z nauką własnego Kościoła i tego im chyba nikt za złe wziąć nie może. Tem bardziej, że nie domagają się żadnego przywileju dla siebie, sami się poddając temu prawu które rzeczywiście jest pod pewnym względem prawem twardem krępującem ludzką swawolę.

Wszakże na usprawiedliwienie naszego żądania: wykluczenia wszelkich rozwodów powołujemy się nie na samą tylko do-

gmatykę katolicką, ale apelujemy także i tu przedewszystkiem do racyj rozumowych, należących zatem do prawa naturalnego. Co nam one mówią? Oto najpierw, że związek małżeński, jakkolwiek początek mu daje w każdym poszczególnym wypadku wolna wola zawierających go, nie jest wszakże instytucją, mającą na celu jedynie dobro prywatne samychże małżonków, lecz instytucją, przeznaczoną przez Stwórcę natury w pierwszym rzędzie dla wydawania na świat potomstwa i odpowiedniego jego wychowania, a dopiero na drugiem miejscu dla wzajemnej pomocy i szczęścia samych małżonków. Stąd wynika, że małżeństwo jest ustanowieniem naturalnem o celach wybitnie społecznych, że dobro publiczne, dobro ludzkości, jest jego racją bytu. Te cele znowu wymagają, aby było ono związkiem trwałym, dożywotnim. Tylko rodziny, na tej podstawie zbudowane, mogą się stać prawdziwie wychowawczą instytucją, szkołą cnót rodzinnych i obywatelskich. Nie rozszerzamy się zresztą tutaj na ten temat, opracowany tyle razy przez katolickich pisarzy, gdyż zadaniem niniejszego artykułu jest jedynie nakreślić wytyczne punkty dla opinji katolickiej i akcji politycznej w zakresie prawodawstwa małżeńskiego. Z istoty małżeństwa, jako związku nierozerwalnego z prawa natury wynika, że nie może jego trwałość być pozostawiona dowolności samych że małżonków, ani nawet arbitralności władzy państwowej. Wolno każdemu aspirować do małżeństwa lub zrzec się go, kto jednak zawiera je w sposób przewidziany przez prawo naturalne i pozytywne, musi je zawrzeć takie, jakiem ono jest ze swej natury, to jest jako związek dożywotni, nierozerwalny i musi poddać się wszystkim jego konsekwencjom. Państwo może dla małżeństwa (o ile nie jest chrześcijańskie) stanowić pewne warunki i przeszkody, nie dość jasne z prawa naturalnego ale nie ma władzy zmienić natury samego związku, jako związku dożywotniego i nierozerwalnego, owszem jego zadaniem jest owo naturalne prawo opatrzyć pozytywną sankcję i stać na straży jego wykonania.

Gdy nierozerwalność małżeństwa wpływa już w prawie naturalnem z jego społecznych zadań i charakteru, to domagania rozwodów pochodzą z wręcz innego zapatrywania na małżeństwo mianowicie z zapatrywania, że związek małżeński jest rzeczą czysto osobistą dwojga ludzi, w której jedynym miarodajnym sędzią jest ich interes, uczucie czy szczęście. Widzimy, że

zderzają się tutaj dwa światopoglądy: światopogląd, który na pierwsze miejsce wysuwa obowiązek podporządkowania się w tem życiu jednostki względem publicznego dobra i światopogląd indywidualistyczny, upatrujący w osobistych doczesnych korzyściach i kaprysach jednostki najwyższe jej prawo. I rzeczywiście rozwód jest ofiarą z dobra ogólnego na rzecz jednostki. Gdyby się miało odwagę pójść konsekwentnie do końca w tym kierunku, to należałoby wogóle znieść instytucję małżeństwa, jako związku o jakiejkolwiek trwałości, na rzecz nieuporządkowanych stosunków płciowych, eufemicznie nazywanych „wolną miłością" i państwo w tym zakresie wogóle nie miałoby nic do czynienia. Przed tą konsekwencją nie cofają się też apostołowie socjalizmu (Engels, Bebel), zaliczając wogóle rodzinę taką, jaką stworzyła chrześcijańska cywilizacja, do rzędu przeżytków kapitalistycznego świata, mających zniknąć w nowym ustroju społecznym. Komunizm rosyjski stworzył ramy prawne do realizacji tej nowej ewangelji materjalistycznej, zwierzęcej miłości, dając możność rozchodzenia się i zawierania nowych związków bez ograniczenia, choćby parę razy na tydzień. samym jednostkom. Pozostawił tylko prostą rejestrację zawieranych związków i rozwodów, niewiadomo zresztą poco, chyba tylko dla stworzenia źródła utrzymania rejestrujących urzędników.

Przed tak konsekwentnem zastosowaniem zasady indywidualizmu i samowoli w zakresie małżeństwa cofają się jeszcze prawie wszystkie państwa świata. Snać poczucie, że związek małżeński należy do tego rodzaju zobowiązań, w których państwo ma prawo ze względu na dobro ogółu krępować samowolę i swawolę jednostki i stanowić lub sankcjonować pewien przymus prawny, wyryło się głęboko w świadomości obyczajowej społeczeństw, wychowanych w duchu cywilizacji chrześcijańskiej. Snać i szkody, jakie wyrządziłaby społeczeństwom anarchja w dziedzinie życia rodzinnego, są tak widoczne, że żaden rozsądny prawodawca nie odważy się stanąć na stanowisku nieograniczonego indywidualizmu. Poważyła się niegdyś uczynić to Rewolucja francuska, wprowadzając r. 1792 nieograniczoną możność rozwodzenia się, lecz skutki były takie, że już w rok zawieszono stosowanie tej ustawy, potem w kodeksie Napoleona ograniczono łatwość rozwodów, a w r. 1816 rozwody we Francji

zupełnie zniesiono, co przetrwało aż do r. 1884. Nowy eksperyment rosyjski ma tę dobrą stronę, że nowoczesnym społeczeństwom przedstawi ad oculos, kompletnym upadkiem wszelkiej obyczajowości i kohortami dzieci bezdomnych, w co się obraca nieograniczona wolność rozwodowa.

Nie ważąc się na tak radykalne pójście w kierunku indywidualizmu, wiele państw nowożytnych poszło wszakże na kompromisy z nim, wprowadzając rozwody, regulowane prawem, dawane przez trybunał w ściśle określonych wypadkach i warunkach. Te państwa nowożytne miały, niestety swoich prekursorów i wzory w wielu wyznaniach religijnych. Nie mówiąc już o tych religjach, które wogóle nie wzniosły się do wysokości zapatrywań chrześcijańskich na naturę małżeństwa, nawet wyznania chrześcijańskie, które powstały z oderwania od jedności Kościoła katolickiego, jak kościół grecki, a później protestanci, wszystkie one odznaczają się tem, że w kwestji nierozerwalności małżeństwa, wyznając ją jako ogólną zasadę, w praktyce wchodzą w kompromis z indywidualizmem ludzkim, ze słabościami ludzkiemi — i dopuszczają rozwody w mniej lub więcej wypadkach. Z tej kompromisowości częstokroć czynią sobie nawet narzędzie prozelityzmu, przedstawiając siebie jako systemy religijne wyrozumialsze na potrzeby i trudności natury ludzkiej, niż nieustępliwy katolicyzm, i przygarniając w ten sposób do siebie jednostki moralnie słabsze, luh zbuntowane przeciw własnemu Kościołowi, jednostki, którym prawo naturalnej nierozerwalności ich związków, wzmocnione boską wolą Chrystusa, wydawało się jarzmem zbyt ciężkiem. Nic dziwnego, że za tymi „łagodnymi" interpretatorami prawa Chrystusowego poszli także prawodawcy świeccy, wprowadzając rozwody.

Rozwody są kompromisem z zasadą fałszywą, złą, zasadą patrzenia na trwałość małżeństwa ze stanowiska prywatnego dobra zainteresowanych jednostek. Nie będziemy tutaj rozpatrywali tych zarzutów, jakie bywają podnoszone przeciw nierozerwalności małżeństwa w imię prawa jednostek do własnego szczęścia i wolności, w imię miłości, jako rzekomo jedynej podstawy trwałości małżeństwa. Rozwiązanie tych zarzutów czytelnicy znajdą u poleconych przez nas powyżej autorów. Tutaj chcę zwrócić uwagę na skutki tej kompromisowości, jaką przedstawiają rozwody.

Nieuchronnym rezultatem tych kompromisów jest to, że dobro wyższe, z którego czyni się ofiarę rzekomo tylko w ściśle określonych wypadkach, w rzeczywistości skazane jest na zupełne cofanie się przed wolą jednostek, ilekroć im spodoba się potargać przyjęte na siebie więzy. Łatwo to powiedzieć, że stoimy zasadniczo na stanowisku nierozerwalności małżeństwa, musimy jednak dopuścić rozwody, jako wyjątki w ściśle określonych przez prawo warunkach! Tak prawo te warunki „określi" ale od kogo będzie zależało stworzenie ich, jak nie od tych, którzy małżeństwo zerwać zechcą? Wiadomo że są kraje (np. niektóre Stany Ameryki Półn.) gdzie jedynym powodem do uzyskania rozwodu jest złamanie przez drugą stronę wiary małżeńskiej. Cóż się w nich dzieje? Oto pary, które dążą do rozejścia się z innych powodów, inscenizują za wspólnem porozumieniem cudzołóstwa w takich warunkach, by mieć możność uzyskania rozwodu. W tym wypadku prawo rozwodowe staje się wprost zachętą do tego, co rzekomo miało być karane rozwodem. Przytaczamy przykład jaskrawy, ale to samo można powiedzieć i o innych powodach rozwodów, przewidzianych przez ustawodawstwo cywilne i wyznaniowe poza katolicyzmem, jak o złośliwem porzuceniu małżonka, o brutalnem obchodzeniu się i t. d. Komu się sprzykrzy jarzmo powziętych na siebie zobowiązań, a nie chce go łagodzić sobie własnem zaparciem, opanowaniem się, ofiarnością i modlitwą, na tego sama możliwość rozwodu działa zachęcająco do pełnienia tych niegodziwości, które albo jemu samemu, albo stronie drugiej dostarczą prawnego tytułu do żądania rozwodu. Rozwód, który w założeniu miał być lekarstwem na małżeństwa nieszczęśliwe, staje się okazją i szkołą wielu występków i liczbę małżeństw nieszczęśliwych mnoży. Prawo rozwodowe działa jak lawina: mała grudka śniegu, oderwana od opoki, urasta po drodze do rozmiarów walącej się góry, czyni coraz większe spustoszenia. Twórcy prawa rozwodowego we Francji uspokajali obrońców małżeństwa (czy siebie?) zapewnieniami, że po wydaniu tego prawa liczba rozwodów raczej się zmniejszy w stosunku do ilości udzielanych poprzednio separacyj — rzeczywistość zadała kłam ich zapewnieniom, bo ilość rozwodów po upływie trzydziestu lat wzrosła dziesięć razy. To samo dzieje się we wszystkich krajach, gdy rozwody zostały wprowadzone, a działoby się jeszcze go-

rzej gdyby nie religijne i moralne oddziaływanie Kościoła katolickiego na opinję i obyczaje, które częściowo przynajmniej paraliżuje fatalne skutki prawa rozwodowego.

I z innego jeszcze powodu trzeba przewidywać, że gdy raz zostanie wprowadzona ustawa rozwodowa, to fatalne jej rezultaty muszą się coraz bardziej potęgować i coraz więcej zbliżać do stanu zupełnej anarchji, jaką obserwujemy u naszych wschodnich sąsiadów. Państwo ma ściśle określić w jakich warunkach i z jakich powodów rozwód może nastąpić. Dobrze! lecz któż jest to „państwo"? Czyż nie sami jego obywatele, czy ich pełnomocnicy, wybrani lub powołani pracodawcy? Lecz jakiem prawem czynią oni te, a nie inne wyjątki i wyłomy w prawie naturalnem? Czy są świadomi jakichś udzielonym im ad hoc przez Wyższego Prawodawcę, Boga, wskazówek lub pełnomocnictw? Zapewne nie, lecz czynią to przekonani o swojej suwerenności, niepodlegającej żadnemu wyższemu prawu. Ale jeśli tym suwerenom wolno uznać pięć wypadków za powody wystarczające do rozwodu, dlaczegoby nie było im wolno dodać do tej liczby innych pięciu? Jeżeli się jeszcze liczą z pewnemi „wymogami" towarzyskich zwyczajów, opinji, poziomem etycznej świadomości społeczeństwa, to czy nie pójdą na dalsze ustępstwa, kiedy obyczaje bardziej się rozluźnią, opinja publiczna ulegnie dalszemu zbałamuceniu i poziom etycznej świadomości bardziej się obniży? Prawodawstwo, o ile nie stanie na granitowym gruncie prawa naturalnego i Bożego, traci swą siłę pedagogiczną; nie wychowuje obyczajów, ale za niemi się wlecze, a każdem ustępstwem dla ludzkiej samowoli i zwłaszcza zmysłowości zachęca je do coraz większego rozprężenia, które potem będzie zmuszone znowu sankcjonować. A dodajmy jeszcze, że częstokroć ci „suwerenni" nie uznający swej zależności od prawa naturalnego prawodawcy osobiście są zainteresowani w czynieniu wyłomów w prawie natury, w coraz to większej kompromisowości ze swawolą i zmysłowością.

Zatem jedynym skutecznym środkiem zapewnienia związkom małżeńskim trwałości, zmniejszenia liczby małżeństw lekkomyślnych i nieszczęśliwych, a zatem drogą do uzdrowienia obyczajów w narodzie, do wychowania pokoleń w poczuciu obowiązkowości i ofiarności — jest wyeliminowanie wszelkiej możliwości rozwodów. Rozwody lubi się u nas przedstawiać jako

wielką jakąś a powszechną zdobycz nowszych czasów, jako atrybut współczesnej cywilizacji; przeciwników rozwodów lubi się piętnować jako śmiesznych wsteczników, usiłujących napróżno wstrzymać w biegu koło dziejów, jako ludzi przynoszących wstyd i ujmę narodowi, do którego się przyznają. No, nie jest znowu tak źle z tem naszem wstecznictwem, a nie jest znowu taką chlubą naśladowanie obcych przykładów i wzorów we wszystkiem. Rozwody, w postaci usankcjonowanej w krajach katolickich, mają nie więcej niż 130 lat za sobą i to nie stałego nieprzerwanego trwania. Robiono próby z niemi we Francji i zarzucano je; kiedy znów je przywrócono, wydają takie owoce, jakie wcale nie powinny wzbudzać naszej zazdrości. Inne kraje wprowadziły je względnie niedawno, jak Niemcy, Węgry; inne wreszcie, jak Hiszpanja, Włochy wcale ich nie znają, a nikt chyba nie zaryzykuje twierdzenia, że te kraje cywilizacyjnie stoją niżej, i to dzięki brakowi rozwodów, niż kraje które je posiadają, a nawet takie, jak Meksyk, Haiti, lub Costa-Rica. We Włoszech wszak rządzili przez całe prawie stulecie domniemani pionierzy wolnej myśli, postępu, najzawziętsi antyklerykali masoni, a przecież nie zdobyli się na zaprowadzenie u siebie rozwodów, chociaż wprowadzili śluby cywilne. I tę antyrozwodową zasadę utrzymali w całej jej konsekwencji i rozciągłości obejmując nią wszystkich obywateli bez względu na wyznanie religijne, zatem protestantów także i żydów. Obecny rząd Italji jeszcze mniej niż poprzednie, zwłaszcza po zawarciu konkordatu ze Stolicą Apostolską, będzie skłonny do czynienia pod tym względem jakiegokolwiek wyłomu. Na Węgrzech, gdzie ustawa rozwodowa była wprowadzona w 1894 r. przez koalicję protestancko-żydowsko-masońską, katolicy czynią już przygotowania do jej odwołania. To samo stawiają w swoich programach katolicy francuscy. Jeżeli w Polsce zniesiemy ustawę, którą nas „uszczęśliwił" Kulturkampf pruski, jeżeli wogóle w całem państwie zamkniemy drogę do wszelkich rozwodów, to nie będziemy osamotnieni w rzędzie państw kulturalnych, owszem dowiedziemy, żeśmy umieli skorzystać ze smutnych doświadczeń innych.

Tutaj się nasuwa obawa, azali wykluczenie rozwodów dla wszystkich nie będzie pogwałceniem wolności religijnej tych wyznań, które dopuszczają rozwody. Obawę tę trzeba uważać

za nieuzasadnioną. Najpierw państwa, wychowane na cywilizacji chrześcijańskiej, przeprowadziły już, nawet w dziedzinie prawa małżeńskiego, pewne postulaty, do jakich nie było podstawy w religijnych przepisach niechrześcijańskich wyznań. Tak w całym szeregu państw wykluczone jest wielożeństwo nawet dla mahometan i żydów, mimo że Koran, a nawet Stary Testament wielożeństwo dopuszczał. Jakoś nie słyszeliśmy, by kogokolwiek z tego powodu oskarżono o nietolerancję religijną względem owych wyznań. Poprostu wyklucza się tylko tolerowanie pewnych obyczajowych form, uznanych za szkodliwe i niewłaściwe w społeczeństwie na wyższem stopniu kultury. Religji wtedy się nie gwałci ale się ją podnosi i uszlachetnia, nie dając jej stosować pewnych wolności, związanych z niższym stopniem moralnego rozwoju ludzkości. Nawet w kraju czysto muzułmańskim, jakim jest Turcja, rządy Kemala-Paszy zniosły wielożeństwo i haremy uprawnione przez Koran. Na tej samej podstawie można przeprowadzić także zasadę nierozerwalności małżeństwa i znieść prawnie rozwody żydowskie (udzielane przez mężów żonom), jako instytucję szkodliwą, nadto niezgodną z zasadą równości płci wobec prawa. We Włoszech prawo antyrozwodowe obejmuje wszystkich, a zatem i żydów, którzy nie widzą w rozwodach pogwałcenia swojej religji. Dlaczegoby u nas takie same zarządzenie miało być uważane za brak tolerancji religijnej.

Tem hasłem „tolerancji religijnej" należy posługiwać się nader ostrożnie. Gdyby mu dać nieograniczone zastosowanie ilekroć się ktoś do niego odwoła, to zachodzi obawa, że powstałyby nawet wprost ad hoc fabrykowane niby religijne grupy, aby się uwolnić od różnych obowiązków i ograniczeń obywatelskich. Wszak znane są nam sekty w Rosji, którym przekonania religijne nietylko nie pozwalały służyć w wojsku, a nawet płacić podatków i wyrabiać sobie policyjnie dokumentów... Więc może tolerować w Polsce, naprzykład małżeństwa bolszewickie z rozwodami co pięć dni, jeśli ich zwolennikom spodoba się związać sekty i uciec pod opiekę tolerancji religijnej? Zresztą nie tworzymy chimerycznych przypuszczeń. Kiedy przed paru laty pewien zbuntowany ksiądz (podobno bohater z „Lenory" Kaden-Bandrowskiego) uciekł się wraz z paru swymi zwolennikami pod skrzydła pewnego poważnego wyznania — uznającego

rozwody, pierwszym praktycznym krokiem tych „religijnych" działaczy był anons w dziennikach o otwarciu przez nich w Warszawie urzędu do udzielania rozwodów katolikom. Cierpianem to było w imię tolerancji religijnej, podczas gdy było to pospolite finansowe przedsiębiorstwo. Wogóle mocno wątpliwem jest, czy motywami prawdziwie religijnemi powodują się ci przedstawiciele naszych protestanckich wyznań, którzy ze swych konsystorzy poczynili oficyny dla masowych rozwodów nawet dla stadeł katolickich? To zachęta do frymarczenia religją nie przynosi zaiste im zaszczytu i jest potępiana nawet przez zasadniczych zwolenników prawa rozwodowego, którzy wskazują też lekarstwo w rozszerzeniu możliwości legalnych rozwodów bez potrzeby zmiany wyznania. Rada zadziwiająca! Widząc, że przez zbudowaną śluzę przecieka zbyt wiele wody, proponują zburzenie samej grobli. My na takie przeciekanie nie widzimy innej rady, jak zamknięcie śluzy.

Przed tą konsekwencją cofa się prof. Wł. Abraham, który naogół wypowiada się przeciwko rozwodom. „Mnie osobiście— pisze w przytoczonej już broszurze (str. 44) — najbardziej pociąga stanowisko prawa włoskiego, nie dopuszczające wogóle do rozwodów, i przemawiałbym stanowczo za jego przyjęciem na wypadek gdyby u nas dla wszystkich obywateli miało być wprowadzone jednolite prawo państwowe małżeńskie z obowiązkową lub też dowolną formą ślubów cywilnych." Motywuje to żądanie przekonaniem, „że naszemu społeczeństwu z jego wybujałym indywidualizmem taki hamulec i taka ofiara z interesów jednostki na rzecz całości państwowej są niezbędne i że nasz naród przedewszystkiem w poczuciu i poszanowaniu zaciągniętych obowiązków powinien być wychowany." Są to słowa troskliwego o dobro ogółu obywatela, a zarazem znawcy ludzkiej zbiorowej psychologji, dlatego dziwnem nam się wydaje ustępstwo, jakie tuż zaraz czyni wyznaniom, dopuszczającym rozwody—w imię historycznego rozwoju naszego społeczeństwa i ze względu na religijne przekonania akatolików. Naszem zdaniem, jeżeli skasowanie zupełne rozwodów jest „niezbędne" w naszem społeczeństwie, to nie mają nic do mówienia „historyczny rozwój" i przekonania „religijne"? Wszak można, stojąc naogół na stanowisku wyznaniowem w zakresie pracodawstwa małżeńskiego (co do kompetencji w określaniu przeszkód, badaniu

ważności zawartych związków), postawić obowiązującą wszystkich zasadę nierozerwalności małżeństwa, która w słowach szan. prof. znalazła tak doskonałe uzasadnienie, czynienie wyjątków od tej zasady dla pewnych wyznań stwarzałoby dla nich przywilej dla „interesów całości“ szkodliwy, dla nich samych niezaszczytny, bo dający im możność odgrywania roli czynnika rozkładowego nawet w obcej im wyznaniowo katolickiej większości narodu. Stąd jedynie konsekwentnem stanowiskiem wobec rozwodu jest stanowisko prawodawstwa włoskiego i katolicka opinja winna domagać się, aby na takiem stanowisku stanęło także państwowe prawo małżeńskie w Polsce. Gdyby zaś akatolikom poczynionemi zostały koncesje, do jakich skłania się w ostateczności prof. Abraham, katolicy winniby domagać się specjalnego zagwarantowania nierozerwalności węzła małżeńskiego katolików, nawet na wypadek zmiany przez nich wyznania, na wzór ustawy anstrjackiej, obowiązującej dotąd w Małopolsce. Jesteśmy przekonani, że na takiem ograniczeniu wygrałyby religijnie i moralnie same wyznania akatolickie. Więcej jeszcze wygrają, jeśli o zachowanie u siebie rozwodów walczyć nie będą.

Mimochodem zaznaczam tutaj inną trudność, jaka wynikłaby z niedopuszczania rozwodów wogóle. W artykule o formie ślubów małżeńskich liczyliśmy się z ewentualnością wprowadzenia ślubów cywilnych. Przy jednoczesnem istnieniu zasady powszechnej nierozerwalności małżeństwa musiałaby ona odnosić się do takich ślubów, by snać małżeństwa cywilne nie stały się furtką do ucieczki przed skutkami nierozerwalności małżeństw kościelnych. Stąd jednak wyniknie, że w pewnych wypadkach prawo państwowe stać będzie na straży nierozerwalności takich związków, które Kościół katolicki uważać będzie za nieważne. Tak będzie ze ślubami tych bezwyznaniowców, których kodeks prawa kanonicznego podaje obowiązkowi kościelnej formy małżeństwa (ochrzczeni lub należący jakiś czas do Kościoła). Ta istotna kolizja zapatrywań dwóch prawodawstw na pewną liczbę związków byłaby w każdym razie złem mniejszem, (na które znalazłby się potem jakiś sposób wyjścia), niż dopuszczenie cywilnych rozwodów, które groziłyby obróceniem w niwecz samej zasady nierozerwalności. Zresztą ilość tego rodzaju czysto cywilnych ślubów napewno się zmniejszy, kiedy nie będzie im towarzyszyła perspektywa możliwości dostania rozwodu.

Dobiegamy do końca. Nakreśliłem jedyną konsekwentną linję postępowania dla katolików wobec projektowanego prawa rozwodowego. Usiłować niedopuścić w Polsce wogóle do jakichkolwiek rozwodów i znieść tam, gdzie już istnieją! Tego domaga się zarówno katolickie sumienie, jak prawdziwa troska o dobro ogólne społeczeństwa, narodu, państwa. Zatem do stworzenia ustawy rozwodowej, chociażby ograniczonej, nie powinien przyłożyć ręki żaden katolik, zapewne wielu współobywateli naszych oburzy takie nieubłagane stanowisko. Nic na to nie poradzimy. Prosimy ich tylko o wmyślenie się w nasze rozumowanie i przyznanie, że jest ono logiczne, konsekwentne, szczere i prawe. Prosimy także o wierzenie, że natchnione ono jest szczerą troską o dobro ogółu, dobro ojczyzny.

Trudności znamy wszyscy: za rozwodami oświadczą się zarówno mniejszości religijne jak i radykalne czynniki polityczne. Wiemy także, że nawet na wysokich stanowiskach Rzeczypospolitej znajdują się ludzie wprost zainteresowani w przeprowadzeniu ustawy rozwodowej, chociażby dla usankcjonowania własnego prywatnego życia. Mamy więc spotkać się oko w oko z silniejszym przeciwnikiem. Jeżeli projekt rozwodowy znajdzie się w naszym sejmie, przewidujemy gorącą naokoło niego walkę, lecz tej walki nawet pragniemy i niczego się tak nie obawiamy, jak defetyzmu we własnym obozie. Wynik tej walki w znacznej mierze zależeć będzie od stopnia uświadomienia katolickiego naszego społeczeństwa, boć z opinją jego muszą się liczyć i nasi prawodawcy, Stąd za najpilniejszą robotę przygotowawczą do ewentualnej batalji uważamy szerokie pouczanie wszystkich warstw narodu o szkodliwości ustawy rozwodowej dla narodu, państwa, moralności publicznej. Nie wystarczy argumentacja tylko teologiczna, nie wystarczą aprioryzmy i ogólniki — na szczęście na poparcie swych projektów postulatów mamy bogaty materjał zebrany z doświadczeń, poczynionych z rozwodami gdzie indziej.

I jeszcze jedna uwaga. Z dzieła obrony rodziny aie należy czynić monopolu dla jakichś stronnictw politycznych, ani komukolwiek z politycznych przeciwników, poza tymi, których linja postępowania jest znana z ich wyraźnych oświadczeń nie należy insynuować wrogie względem katolickich postulatów stanowiska. W tak ważnej sprawie musimy się jednoczyć wszyscy, kto tylko

w Boga wierzy, a Polsce życzy moralnego zdrowia i nowego pokolenia ofiarnych i wychowanych w obowiązkowości obywateli.

Za wskazówkami tego Kościoła, który już niejednokrotnie przetworzył obyczaje społeczeństw, zróbmy wszystko, co się da dla odwróconia niebezpieczeństwa, grożącego rodzinie w Polsce. Wysiłki takie w żadnym razie nie będą bezowocne.

Ks. Jan Urban. T. J.

O bezkarności grzechów jawnych.

„Adolf: Ach u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje.

Niemojewski: krew?

Adolf: Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata. Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata".

(Mickiewicz—Dziady III).

W swoim czasie, gdy Rzeczpospolita szlachecka XVII wieku chyliła się ku upadkowi wskutek głupoty i nieprawości wielu swoich synów, Złotousty Piotr Skarga z wielką troską o przyszłość narodu mówił królowi i sejmującym stanom w jednym ze swoich kazań o bezkarności grzechów jawnych przeciwko Rzeczypospolitej.

Historja czasami się powtarza, a nie dla każdego, niestety, jest mistrzynią życia.

Dzięki zrządzeniu Opatrzności i swym wielkim siłom żywotnym Naród Polski odzyskał byt niepodległy i aczkolwiek nie został uwolniony od grożących mu w przyszłości niebezpieczeństw zewnętrznych, to wszakże ma wszelkie dane zarówno ekonomiczne i psychologiczne, jak i terytorjalne do wybitnego rozwoju.

Przyszłość nasza jest w naszych własnych rękach. Wydawałoby się, że każdy to powinien rozumieć i z dobrą wolą ustosunkować się do zagadnień związanych z rozbudową państwa.

Tymczasem widzimy, że jest inaczej. Zaledwie 11 lat upłynęło naszej niepodległości, a już powstało szereg przeszkód na drodze naszego rozwoju, przeszkód wytworzonych jak na złość, własnemi rękoma nowych rodaków. Nie mówimy tu o błędach popełnionych w dobrej wierze, błędy, niestety, zawsze pracy ludzkiej towarzyszą. Chodzi nam o przestępstwa, o zbrodnie pospolite, których sprawcy uchodzą bezkarnie.

Nic tak nie demoralizuje społeczeństwa i państwa, nic tak nie niszczy tych wiązadeł wewnętrznych, na których wspiera się byt społeczeństwa, jak panosząca się bezczelnie niesprawiedliwość. Początkowo będzie ona razić tylko warstwy wyższe—inteligencję, potem świadomość krzywdy i systematycznie stosowanej podwójnej miary przedostanie się do warstw ludowych i tam może wyrządzić prawdziwe spustoszenia; jak rdza zjada żelazo, tak świadomość ta zniszczyć może zaufanie i szacunek do tych instytucyj, których byt na tym zaufaniu i szacunku się wspiera. A stan taki byłby wodą na młyn najmitów Moskwy i Berlina!

* * *

Oto czytamy w prasie zbiór nieskonfiskowanych przez władze sprawozdań prasowych z procesu o zabójstwo Centnerszwera w Sądzie Okr. w Warszawie:

„A. B. C." pisze:

ZEZNANIA KOCZAJA.

Jako dalszy świadek-alibista stanął przed sądem siostrzeniec Stańczyka, Koczaj. Koczaj napomknął o biciu w urzędzie śledczym. Raz uderzył go w twarz komisarz, a drugi raz wywiadowca Kołpaczyński, za to, że usiłował rozmawiać z uwięzionym Stańczykiem.

Zeznanie następnego świadka w świetle nieskonfiskowanej „Gazety Warszawskiej" wygląda następująco:

Następnie przesłuchano świadka Karolaka, dozorcę domu № 25, przy ul. Marszałkowskiej, gdzie Stańczyk jest pomocnikiem dozorcy.

Karolak wystawia oskarżonemu jaknajlepsze świadectwo i oświadcza, że sam był bity również przez policję, tak mocno, iż ogłuchł na lewe ucho.

Przewod.: — Czy długo był pan w urzędzie śledczym?

— Od 5-ej rano do 12-ej w nocy.

— Czy miał pan znaki pobicia?

— Ja się sobie nie przyglądałem.

Adw. Hofmokl-Ostrowski:

— Czy bili pana?

— Bili.

— Czy widział się pan podczas badania z Agatą Peciakową?

— Tak. Sprowadzili ją i pytali mnie, gdzie podziałem paczkę z pieniędzmi.

— Czy ją bili?

— Bili w sąsiednim pokoju. Słyszałem krzyki: Weźcie mnie i zabijcie. Uderzyłem ją też raz, czy dwa, bo mi kazali.

— A pana ile razy bili?

— Parę razy po twarzy.

— Czy przewrócił się pan?

— Nie.

O zeznaniu dr. Ulatowskiej nieskonfiskowana „Gązeta Warszawska" pisze:

ZEZNANIE LEKARKI.

Z kwestją bicia oskarżonych wiąże się charakterystyczne zeznanie dr. Ulatowskiej, lekarki więzienia kobiecego, która wydała świadectwo, stwierdzające fakt pobicia Agaty Peciakówny.

Przewodniczący: Czy Peciakówna zgłaszała się do pani?

— Nie, przysłano ją do mnie pierwszego dnia.

— Co pani stwierdziła?

— Krwawe wylewy na wewnętrznej i zewnętrznej stronie ust oraz duże fioletowe sińce.....*)

— Czy może pani wymienić narzędzie, od którego pochodziły te ślady?

— Było to narzędzie o dużej powierzchni.

Uderzenia były silne, na skórze pozostały długie pasma.

Obrona: — Czy mogły to być kije?

— Mogły. Powierzchnia jest dość długa i płaska.

Przewodn.: — Czy to nie było kopnięcie?

— Nie.

— Czy miejsca były wybierane?

— Nie. Uderzenia były gdzie popadło. ...

— Czy Peciakówna skarżyła się?

— Nie pytałam jej o to, to do mnie nie należy. Przyszła spłakana.

— Czy pani złożyła raport w dyrekcji więziennej z oględzin.

— Tak jest.

Świadek Zbrożkowa według nieskonfiskowanej „Gazety Warszawskiej" zeznała:

SINIAKI.

Świadek Aleksandra Zbrożkowa, kuzynka Agaty Peciakówny, o której Peciakówna mówiła, iż u niej złożyła skradzione pieniądze, zeznaje, że wywiadowcy przywieźli do niej Peciakównę. Ta poczęła wmawiać w świadka, że pozostawiła jej jakieś pieniądze

Przewodniczący: — Jakie wrażenie wywołała na pani Peciakówna?

— Była przelękniona, a chwilami bałam się, że postradała zmysły.

Obrońca: — Pani wspominała, że Peciakówna, przyjechawszy z wywiadowcami do pani, była posiniaczona. Proszę bliżej określić, w jakich miejscach.

— Narazie widziałam siniaki na jej twarzy. Byłam wtedy bardzo przestraszona, bo jeden z tych panów, starszy nad nimi, powiedział mi, że ręce i nogi mi połamie, jeśli nie powiem, gdzie ukryłam pieniądze. Wo-

---

*) Część szczegółów ze względu na ich drastyczność opuszczamy.

łałam, że nic o tem nie wiem, ale to nie pomagało. Gdy tak mi zagroził, kuzynka pokazała ciało strasznie zbite i mówiła: „Tak biją okropnie".

— A czy przy pani nie bili Peciakowej?

— Owszem, w mojem mieszkaniu dali jej w twarz a potem, jak zabrali mnie do urzędu śledczego, to widziałam i słyszałam jak ją tam jeszcze bili.

— Co pani słyszała?

— Słyszałam jęki, płacz i krzyki.

— A uderzeń pani nie słyszała?

— A jakże, słyszałam również, przecież to było przez ścianę.

— Co Peciakówna wołała?

— Krzyczała: Pawle! Pawle!

— Czy to był jednostajny krzyk, czy też poszczególne wykrzykniki?

— Nie, to były krzyki tak: och, och, że zrobiło mi się niedobrze.

CO ZEZNAŁ FELCZER MURNICKI?

Z kolei przy pulpicie dla świadków stanął felczer więzienny, Murnicki.

Stwierdził on, że przyprowadzony do więzienia Konstanty Pystka nie skarżył się na nic, a przy oględzinach żadnych śladów pobicia lub choćby sińców nie wykryto. Z dalszego zeznania jego okazało się, że leczył on Pystkę na ucho. Jako zabieg zastosował przemywanie wodą utlenioną. Na pytanie sądu na jakiem tle powstała choroba, zasłaniał się brakiem pamięci, a na dalsze pytania, czy naprawdę Pystce coś było, odpowiedział:

— Nieraz przychodzą aresztanci, którym nic nie jest, a proszą o zabieg. W takich razach coś im się zawsze robi.

Słowa te wywołały na sali szmer. Felczer Murnicki nie umiał także powiedzieć, o znanym wypadku pobicia więźnia, niejakiego Wiśniewskiego, który w 24 godziny po aresztowaniu — zmarł wskutek pobicia. Świadek stwierdza, że był to alkoholik, którego później skierował do psychjatry. Więzień Wiśniewski krótki czas przebywał w areszcie, miał jednak połamane żebra i całe ciało poranione. Murnicki wyjaśnił, że podczas robienia więźniowi zastrzyków, nie zauważył na jego ciele żadnych śladów pobicia.

— Dlaczego robił mu pan zastrzyki?

— Dla podtrzymania serca.

Co do więźnia Wiśniewskiego, brak pamięci Murnickiego jest zastanawiający. Murnicki wie, że do dziś dnia toczą się dochodzenia prokuratorskie o śmiertelne pobicie więźnia i felczer sam był przesłuchiwany w tej sprawie, jako świadek, mimo to na pytania obrony odpowiada: „Nie pamiętam, nie pamiętam".

MOWA PROKURATORA.

Po dwugodzinnej przerwie, gdy przewód sądowy został zamknięty wygłosił oskarżycielskie przemówienie wiceprokurator Bacciarelli. Mówił półtorej godziny i wnosił o przyjęcie uzasadnienia aktu oskarżenia oraz ukaranie wszystkich podsądnych w granicach ustawy, która, jak wiadomo, zbrodnię morderstwa z chęci zysku, karze śmiercią,

PRZEMÓWIENIE OBRONY.

Pierwszy z obrońców przemawiał adw. Wilhelm Hofmokl-Ostrowski, który obalił wszystkie zarzuty oskarżenia, mocą zeznań świadków-alibistów lub innych dowodów.

Brat jego, Zygmunt, rozpoczął przemówienie słowami:

„Wobec tego, iż pan prokurator zrzekł się oskarżenia...

— Panie adwokacie, prokurator nie zrzekł się oskarżenia — przerywa przewodniczący.

— ...Spodziewałem się, że pan prezes sprostuje to. I jeżeli w ten sposób zacząłem, to tylko dlatego, że w mowie pana prokuratora wyczuwałem podświadome odstąpienie od oskarżenia.

Obaj obrońcy domagali się wyroku uniewinniającego, by „niedołęstwa urzędu śledczego nie zostały poparte autorytetem wyroku skazującego".

— Ten proces będzie mieć przykład dla władz śledczych, że w takich sprawach, jak ta, gardłowa, więcej uwagi należy poświęcić poszlakom i domniemanym dowodom winy.

WYROK I JEGO MOTYWY.

Podsądni, kolejno wstając, prosili o uniewinnienie.

Narada sądu trwała godzinę.

Publiczność przez ten czas oczekiwała z natężeniem uwagi. O godzinie 10 min. 20 wieczorem szczególnie nabita sala wysłuchała wyroku. Wszystkich podsądnych uniewinniono. Przewodniczący w ustnych motywach zaznaczył, że nie daje wiary kłamliwym zeznaniom Kołtuna, na których opierało się całe oskarżenie. Podsądni wykazali swoje alibi. Sąd nie mógł oprzeć się także na zeznaniu chłopca Dąbrowskiego, który zbyt krótko w mgnieniu oka, widział sylwetki sprawców napadu.

Co do głównych świadków oskarżenia, oznaczonych przez trybunał mianem „czterech" (wiadomo, że chodzi tu o funkcjonarjuszów urzędu śledczego), ich zeznania też nie były dla sądu przekonywujące.

Dalej sąd uznał, że zeznania, złożone przez podsądnych w toku śledztwa, uważać należy za złożone „w stanie depresji duchowej". Podsądni wysłuchali wyroku osłupiali. Natychmiast wygotowano nakazy ich zwolnienia, wszyscy czworo więc, mimo późnej pory, znaleźli się na wolności.

Nie jest to żadna sprawa polityczna. Ot zwykłe morderstwo rabunkowe, chwytanie podejrzanych, badanie ich w Urzędzie Śledczym.

Urząd Śledczy Ministerstwa Sprawiedliwości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.....

„O wielcy panowie, o ziemscy bogowie", którzy nami rządzicie, tu nie pomogą żadne konfiskaty, tu trzeba zbadać sprawę nadużyć w urzędzie śledczym i ukarać winnych z całą surowością prawa. **) W przeciwnym bowiem razie Pystkowie, Pe-

---

**) Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że przeciwko komisarzowi Stabholcowi i kilku urzędnikom wydziału śledczego władze nadzorcze wszczęły dochodzenie dyscyplinarne.

ciakowie, Zbrożkowie i inni ludzie z tłumu gotowi jeszcze pomyśleć, że pokrzywdzili ich nie ci lub owi osobnicy, ukarani następnie za nadużycie władzy, lecz, że to Państwo Polskie tak z nimi postępowało. Nie potrzeba dodawać, że skutki utrwalenia się takich poglądów byłyby prędzej, czy później fatalne dla Państwa.

* * *

Jest jeszcze inna sprawa pokryta już częściowo popiołem zapomnienia. Są jednak tacy, którzy o niej pamiętają. W 48 numerze tygodnika „Piast" czytamy:

Jakieś fatum zdaje się ciążyć na osobach, w jakikolwiek sposób związanych — wedle doniesień prasy — pamiętnym faktem zaginięcia generała Zagórskiego w dniu 7 sierpnia 1927 roku.

W ciągu trzech lat, które od tego czasu upłynęły, pięć z pośród owych osób uległo temu fatum.

1) Żandarm Koryzma, którego dzienniki wymieniały w pewnej łączności ze wspomnianym faktem, został w nocy 4 grudnia 1928 r. w ogrodzie Belwederu zastrzelony przez niewyśledzonego sprawcę.

2) Szofer z wojskowej kolumny samochodowej, który w dniu 7 sierpnia 1927 r. wiózł generałą Zagórskiego w Cadillacu, we dwa lata później poniósł śmierć w przypadkowym wypadku automobilowym na szosie Spała—Warszawa.

3) Bojowiec BBS Sieczko, o którym dzienniki wspominały w związku ze sprawą zaginięcia generała Zagórskiego, został zamordowany przez swoich kolegów z bojówki BBS w jakiejś awanturze w szynku.

4) Porucznik Władysław Kowalewski, który w owym czasie był prezesem „Strzelca" warszawskiego i w którego mieszkaniu przy ul. Królewskiej—wedle relacji dzienników—generał Zagórki znajdował się przez jakiś czas w dniu 7 sierpnia 1927 r., był po wystąpieniu z wojska właścicielem dobrze prosperującej drukarni przy ul. Długiej w Warszawie. Po rozpisaniu wyborów tegorocznych, zawiedziony w swojej nadziei otrzymania od B.B. zamówień na druki przedwyborcze, wygadywał w towarzystwach. Zmarł on nagle na udar serca na wyścigach we wrześniu 1930 r.

5) Porucznik Zaćwilichowski osobiście nie był wymieniany w łączności ze sprawą zaginięcia generała Zagórskiego. Ale generał Zagórski w dniu, w którym zaginął, widziany był w Cadillacu, którym rozporządał porucznik Zaćwilichowski. W październiku 1930 r. porucznik w drodze z Warszawy do Grudziądza poniósł śmierć w przypadkowej katastrofie samochodowej.

Dziwny zbieg okoliczności...

* * *

W chwili obecnej sumienie narodu wstrząśnięte jest jednak czem innym.

BRZEŚĆ.... To słowo jest na ustach wszystkich.

Już sam fakt uwięzienia musiał wzbudzić w każdym uczciwym nieuprzedzonym człowieku szereg wątpliwości zarówno

z punktu widzenia prawnego, jak i politycznego. Potem przyszło „wyjaśnienie” procedury karnej i dostosowywania jej do potrzeb więzienia wojskowego i zaczęło się utrwalać przekonanie, że wszystko można „wyinterpretować” i że paragraf pisze się dlatego ot w ten sposób „§”, że można go odwrócić na drugą stronę.

Ale nie oto chodzi, najgorsze przyszło na samym końcu. Oto, gdy uwalniono szereg więźniów brzeskich, na społeczeństwo spadła fala pogłosek o tem, jak im było w tym Brześciu... Dreszcz zgrozy przeszedł przez cały kraj!

Oto cytata z wniosku złożonego w Sejmie przez jedno ze stronnictw opozycyjnych:

„Więzienie w Brześciu było dla uwięzionych, przeciw którym do dziś dnia jakiekolwiek uchwytne oskarżenie nie jest znane, kaźnią bezprzykładną w prawidłowem więziennictwie. Więźniowie byli nietylko nękani i głodzeni ale bici przez oficerów i podoficerów, lub wręcz katowani, a nawet pozbawieni pociechy religijnej, gdy się jej domagali. W świetle grozą przejmujących wiadomości, które dzisiaj już są zebrane szczegółowo o znęcaniu się nad poszczególnymi uwięzionymi, przedstawia się to więzienie w Brześciu jako straszliwa hańba współczesnego życia polskiego, od której musi się odciąć wszystko, co jest zdrowem i uczciwem w społeczeństwie. Jest to sprawa rządu w Polsce i sposobu używania przezeń władzy, którą ma w ręku, jego stosunku do obowiązujących w państwie polskiem praw, sprawa sędziów i prokuratorów, ich sumienia i ich szacunku dla prawa, sprawa czci munduru, noszonego przez wojsko polskie, sprawa naszego oblicza narodowego wobec świata, wreszcie sprawa całej naszej cywilizacji”. („Gazeta Warszawska” № 363).

Publicysta innego stronnictwa opozycyjnego w ten sposób ujmuje zagadnienie w stołecznym jego organie („Robotnik” z dn. 6. XII. 1930):

Pomiędzy Was a nas padło jedno słowo:

BRZEŚĆ!

Tego słowa nie wymaże już nikt: dzisiaj wymawiają je pocichu usta robotnicze i chłopskie; nadejdzie niebawem czas, kiedy zagrzmi ono, jak grom, na całej ziemi polskiej, odsłoni PRAWDĘ i plunie w twarz szalbierstwu sprzedajnej prasy.

Niektórzy z Was szepcą dzisiaj o pojednaniu. Nie będzie pojednania! Pojednanie musiałoby przekroczyć przez jedno słowo

BRZEŚĆ!

to jest przepaść zanadto szeroka.

Bywały legendy, które umierały na polach bitew; bywały legendy, które umierały wśród cichego szelestu liści zapomnienia; będą legendy, które umrą pod ciężarem jednego słowa

BRZEŚĆ!

To jedno słowo zamyka w sobie honor proletarjatu. Milczeli i milczą literaci i poeci, milczy- chwilowo—szary tłum uliczny. Ale są jeszcze

ludzie, umiejący nie zapominać. Niech mijają miesiące i lata. Niech się dzieje tysiące rzeczy. Ile razy wyciągnie, który z Was do nas rękę,—odpowiemy jednem słowem

BRZEŚĆ!

To jedno słowo będzie szło za legendą krok w krok. Będzie burzyło spokój uroczystości. Będzie kulą żelaza u stóp każdego porywu. Aż Lud „osądzi w zapłaty godzinie"...

Jedno słowo, jedno tylko, a przecie tak wielkie, jak Polska, tak przerażające, jak rozpacz mas,—jedno słowo

BRZEŚĆ!

Nie będzie pojednania! Nie może być pojednania — już nigdy!

Jako pismo katolickie nie możemy pochwalać słów nienawiści i nieprzejednania. Sprawiedliwość jednak nakazuje stwierdzić, że zupełnie zrozumiałe jest rozgoryczenie ludzi, z których przywódcami tak postąpiono. Wszak już samo zaaresztowanie w okresie wyborów przywódców prawie wszystkich stronnictw, ludzi, którzy piastowali wielkie godności w Państwie — było daleko idącą represją polityczną. Zarówno prawo, jak i sumienie nakazywały przynajmniej traktować ich po ludzku.

Bylibyśmy społeczeństwem pozbawionym kultury moralnej i honoru, gdybyśmy nad taką rzeczą przeszli do porządku dziennego. Nie chodzi tu o zemstę, lecz o legalny wymiar sprawiedliwości. Należy przeprowadzić energiczne śledztwo, zbadać, w jakim stopniu dopuszczono się nadużyć i sprawców ukarać z całą surowością prawa. Bezkarność ich bowiem byłaby pierwszym krokiem do bolszewizmu w Polsce. Jesteśmy najgłębiej przekonani, że prędzej, czy później sprawiedliwość ich dosięgnie...

* * *

Mimo licznych błędów i przestępstw popełnianych w naszem życiu wewnętrznem naród nasz posiada tak wielkie siły żywotne, że prędzej, czy później Polska otrząśnie się ze wstrętem z nieprawości i wypłynie na czyste wody. Do tego jednak musi się przyczynić w pierwszym rzędzie inteligencja katolicka, organizując się, tworząc jasną i zdeklarowaną opinję, potępiającą bez pardonu wszelkie objawy destrukcji moralnej. *S. J. K.*

Na froncie walki o religję, moralność i kulturę.

Sojusz wolnomyślicieli polskich i sowieckich. — Ciekawy proces. — Arcybiskup Pragi o kapitalizmie i kwestji społecznej. — Indyferentyzm naszej inteligencji. — Dlaczego „La Croix" występuje przeciw Polsce? — Trzej przywódcy duchowi Mazurów Pruskich.

W miarę upadania wpływu i znaczenia masonerji zachodnio-europejskiej inicjatywa walki z religją i kościołem coraz bardziej przechodzi w ręce III Międzynarodówki Sowieckiej. Dowodem tego choćby fakt następujący, który podajemy za K. A. P.:

W Bodenbach w Austrji obradował niedawno kongres „międzynarodowego zjednoczenia wolnomyślicieli proletarjackich". Przybyli nań delegaci związków wolnomyślicieli z Rosji, Niemiec, Czecho-Słowacji, Polski, Austrji, Belgji i Stanów Zjednoczonych. Zaraz na początku zjazdu przedstawiciel Rosji, Łukaszewskij, zażądał zmiany referatów i referentów, ponieważ pod kierunkiem socjaldemokracji wolnomyślicielstwo działa „po faszystowsku". Gdy wśród wrzawy socjalistów wniosek jego został odrzucony, Łukaszewskij odczytał rezolucję, w której oświadczył, że tylko pod przewodem komunistycznej Moskwy ruch wolnomyślicielski może mieć charakter prawdziwie międzynarodowy i proletarjacki. Po odczytaniu tego oświadczenia Rosjanie opuścili salę, a razem z nimi wyszli delegaci polscy i belgijscy.

Prezydentem rosyjskiej międzynarodówki wolnomyślicieli obrany został mason Ronzal z Wiednia. Jest to jeszcze jeden dowód, że masonerja ma wpływ na wszelkie tego rodzaju ruchy.

Solidarność polskich wolnomyślicieli z rosyjskimi bezbożnikami jeszcze raz zaznaczyła się na powyższym zjeździe. K. A. P. w swoim czasie ogłaszała wymianę korespondencji pomiędzy wolnomyślicielami polskimi i sowieckimi.

Bardzo dużo do myślenia daje stanowisko zajęte na tym zjeździe przez wolnomyślicieli polskich, a mianowicie solidaryzowanie się ich z kolegami sowieckimi. Wpływy kominternu musiały już zapuścić głębokie korzenie w organizacjach antyreligijnych w Polsce, jeżeli mogło dojść do takiej manifestacji współdziałania i solidarności na kongresie międzynarodowym. Prawdopodobnie niejedną jaczejkę znaleźlibyśmy wśród zwartych organizacyj i związków. Niestety, jest to robota podziemna, nieuchwytna. My obserwować możemy tylko jej skutki w postaci poszczególnych faktów zewnętrznych. Podajemy poniżej jeden z nich według relacji „Polonji":

W dniu 1 grudnia rb. Sąd apelacyjny w Warszawie rozpatrywał sprawę p. Henryka Maciejewskiego, redaktora organu Stowarzyszenia Chrz. Nar. Nauczycielstwa Szkół Powsz. „Nauczyciel Polski", w którem to czasopiśmie zamieszczono notatkę o niesłychanym dotąd u nas fakcie usunięcia obrazów religijnych i krzyży z sal szkoły św. Anny we Lwowie przez kierownika tejże szkoły p. Władykę. P. Władyka, członek zarządu Związku Nauczycieli Szk. Powsz., pociągnął redaktora p. H. Maciejewskiego do odpowiedzialności sądowej za zniesławienie. Zaznaczyć należy, iż p. Władyka nie życzył sobie, by rozprawa sądowa toczyła się we Lwowie, gdzie byli naoczni świadkowie powyższego faktu.

Sąd Okręgowy w Warszawie, nie wezwawszy świadków obrony, a opierając się jedynie na zeznaniach p. Władyki, skazał redaktora Maciejewskiego na 2 miesiące aresztu i 300 złotych grzywny. Sąd apelacyjny zaś, wysłuchawszy zeznań naocznych świadków, przybyłych ze Lwowa, prefektów szkoły św. Anny ks. Hausnera i ks. Dubieckiego, uchylił wyrok Sądu okręgowego i redaktora Maciejewskiego uwolnił od winy i kary. Swiadkowie zeznali, że obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, które dziatwa szkolna otaczała pietyzmem, już na dawne miejsce nie powróciły, a zastąpiono je małej wartości oleodrukami i to dopiero na wyraźny rozkaz Rady szkolnej, która została zainterpelowana przez władze kościelne i ministerstwo. Uzupełnić zaś krzyży wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela mimo wyraźnego żądania ks. pref. Dubieckiego, kierownik szkoły nie chciał. Uczynił to ks. Dubiecki własnoręcznie i za swoje pieniądze.

Decyzja Sądu apelacyjnego, uniewinniająca p. H. Maciejewskiego od winy tem samem zwraca się swem ostrzem przeciwko tym wychowawcom ze Związku N. S. P., którzy swe zadanie w szkole pojmują, jako walkę z religją.

Brawo! P. Henryk Maciejewski dobrze zasłużył się Kościołowi i Ojczyźnie, demaskując odważnie ciemne machinacje wrogów religji.

* * *

Nie ulega wątpliwości, że komunizm sowiecki poniósł całkowitą i druzgocącą klęskę w samej Rosji, natomiast, niestety, nie można tego powiedzieć o innych krajach poza Rosją. W Polsce, w Niemczech, w Anglji, a nawet w Ameryce zwiększa się z każdym bodaj rokiem zatruty posiew radykalizacji i materjalizacji szerokich mas robotniczych. Podłożem jego jest ciężki kryzys gospodarczy i klęska bezrobocia, a towarzyszy mu zjawisko użycia i nadużycia dóbr świata przez warstwy zamożne przy równoczesnej ich obojętności wobec żądzy i potrzeb proletarjatu.

Na zastraszające to zjawisko zwrócili już uwagę poszczególni dostojnicy Kościoła. Podajemy za „Rzeczpospolitą" znamienne ostrzeżenie ks. Arcybiskupa Pragi:

W nader silnych i niezwykle odważnych słowach scharakteryzował arcybiskup Pragi, ks. dr. Kordacz, w wywiadzie, udzielonym przedstawicielowi międzynarodowego Związku kinematografji, Ludwikowi Huspekowi, dzisiejszy kapitalizm, poruszając przytem najważniejsze problemy współczesnej kwestji socjalnej. Powyższej enucjancji poświęca również wiele miejsca „Osservatore Romano”.

Nawiązawszy do olbrzymiego znaczenia kinematografji, jako pierwszorzędnego środka propagandy, wskazuje dostojnik Kościoła na konieczność zastosowania kinematografji w duchu katolickim w dziedzinie spółczesnej, co uczyniłby sam św. Paweł—mówił arcypasterz—gdyby żył w naszych czasach.

Mówiąc o kapitaliźmie, ks. arcybiskup wskazuje nań, jako na źródło dzisiejszej pauperyzacji, z powodu której cierpią zarówno szerokie masy katolickie, jak i socjaliści wszelkich odcieni. Żyjemy w epoce egoizmu i ogólnej dekadencji, które wypływają z niemoralnego i nieproduktywnego kapitalizmu, zrzeszonego w bankach i kartelach. Taki kapitalizm nie przyczynia się bynajmniej do postępu. Wielkie zdobycze nowoczesnej techniki, nowe metody pracy, które miały się stać błogosławieństwem dla ludzkości, obracają się na jej szkodę.

Dostojny mówca zastrzega się, jakoby miał być wrogiem maszyn o których jest przekonany, iż mogą się przyczynić do postępu, lecz dodaje że robotnicy londyńcy, którzy zniszczyli pierwsze maszyny, słusznie przeczuwali, iż one właśnie pewnego dnia pozbawią ich chleba i zepchną do skrajnej nędzy i rozpaczy.

W obecnym rozkwicie przemysłu i zdobyczach technicznych nie można widzieć postępu, albowiem człowiek, który powinien panować nad materją, staje się jej niewolnikiem. Człowiek posiada wolną wolę i rozsądek, oraz dąży słusznie do postępu, lecz to co dzisiaj zowie się postępem, zatruwa ducha i moralność szerokich mas. Jest obowiązkiem państwa dążyć do wychowywania swoich obywateli dla racjonalnej demokracji. W naszych czasach nie chce się rozumieć, że każdy człowiek, nawet najbiedniejszy, ma prawo do życia, do pracy i własnej rodziny. Gdy istnieją również tacy kapitaliści, którzy znają nędzę swoich robotników, rozumieją ich potrzeby i dzielą z nimi owoce wspólnej pracy, budując dla nich jasne domy, łaźnie i czytelnie, to są oni jednak tylko wyjątkami i odosobnieni. Nie zmienia to w niczem skutków ogólnego marazmu materjalizmu.

Dostojnik Kościoła kończy swój wywiad porównaniem dzisiejszych czasów z okresem wędrówki narodów. która zniszczyła świat helleńsko-rzymski. Wówczas z morza przelanej krwi powstał Chrystjanizm, często bowiem wielkie wydarzenia łączą się z krwawemi konfliktami. Z niebezpieczeństw, jakie dzisiaj zagrażają całemu światu, najlepiej zdają sobie sprawę i wykorzystują je dla swych celów bolszewicy, którzy dążą do wywołania ogólno-światowej rewolucji.

Biada tym narodom—woła arcybiskup Kordacz—którzy sobie z dzisiejszego położenia nie zdają sprawy i nie widzą zbliżającej się katastrofy... Czas nasz dojrzał w światowej rewolucji. O ile nasze rządy i nasi kapi-

taliści nie przyjmą zasad Chrystjanizmu, cały świat będzie zniszczony przez czerwone morze płomieni...

Niezwykle zajmujące są komentarze, jakie się ukazały po tym wywiadzie w prasie czeskiej i zagranicznej. Jako jeden z najcharakterystyczniejszych przytoczymy dla przykładu bardzo poważny głos publicysty z „Pragier Börsenkurier", dr. Saudeka, żyda. Autor nazywa arcybiskupa Kordacza kapłanem i filozofem—wychowawcą, którego ostatnie słowa są znakomitem wyłożeniem zasad społecznych, zawartych w słynnej encyklice Leona XIII „Rerum Novarum". Kościół—mówi autor—interwenjuje w niezwykle czynny sposób w walce socjalnej; Kościół nie dyskutuje, a działa. „Kościół katolicki, musimy to przyznać otwarcie,—pisze autor—bynajmniej nie jest zdyskredytowany, jak to chciano widzieć, natomiast w całej pełni jest powołany do tego, by w rosnącym chaosie rozbrzmiewał jego głos. Już od długiego czasu zarzuciliśmy pogląd, jakoby Kościół stanowił uosobienie reakcji".

Stwierdzić, niestety, należy, że na ogół koła kapitalistyczne starają się obniżać znaczenie dobitnych słów arcybiskupa Kordacza, lub interpretują je w sposób niewłaściwy.

Liczne komentarze oraz pisma, nadesłane ks. arcybiskupowi Pragi, skłoniły dyr. Huspeka do proszenia o nowy wywiad, podczas którego dostojnik Kościoła nadmienił, że w wywiadzie swoim nie powiedział właściwie nic nowego, albowiem wszystko to mówił już św. Tomasz z Akwinu oraz jest to napisane w Nowym Testamancie i księgach Mojżesza.

Uzasadniając następnie obszerniej pewne twierdzenia swoje z pierwszego wywiadu, ks. arcybiskup wskazuje na konieczność stworzenia równowagi, o ile chodzi o stosunek kapitalizmu do robotnika, która to równowaga powinna być oparta na podstawie etycznej. Dzisiejszy świat przesiąknięty jest materjalizmem, podobnie, jak w czasach pogańskich. Wówczas przyszedł Chrystus na świat, a przybycie jego było gorącym protestem przeciwko okropnemu panowaniu mamony. I tu właśnie tkwi największa tajemnica dziejów świata: Bóg przychodzi na świat nagi, ubogi i słaby, by zaprotestować przeciwko panowaniu materji i egoizmu.

Ustrój kapitalistyczny w Europie wchodzi w fazę kryzysu i przeobrażania. Takiemu zjawisku towarzyszą zwykle silniejsze lub słabsze zaburzenia o charakterze socjalnym. W rękach inteligencji katolickiej znajduje się klucz sytuacji. Ona tylko może swoją pracą i wysiłkiem złagodzić katastrofalne skutki kryzysu i uzyskać wpływ na masy pracujące, aby powstrzymać je w odpowiedniej chwili przed pójściem za hasłami radykalnemi. Trzeba przyznać, że zagranicą inteligencja katolicka zrozumiała w znacznej mierze swoją rolę i jest czynnikiem aktywnym w życiu społecznym. Na czele tej akcji kroczy, jak zwykle, duchowieństwo katolickie. Oto przed nami przykład:

Biskupi amerykańscy wydali orędzie, w którem wzywają wszystkie organizacje katolickie w Stanach Zjednoczonych, by stosowały zasady chrze-

ścijańskie w życiu publicznem i ekonomicznem i by szczególniejszą uwagę zwróciły na kwestję bezrobocia. Komitet zarządzający towarzystwa „National Catholic Welfare Conference", które kierowane jest przez Episkopat amerykański, podkreślił, że każdy biskup uczyni wszystko, co tylko jest w jego mocy, by przez odpowiednią opiekę i na drodze akcji charytatywnej złagodzić los bezrobotnych, zwłaszcza teraz, gdy zbliża się zima. (KAP.)

U nas inaczej, inaczej, inaczej... Mimo wielokrotnej zachęty i wezwania Stolicy Apostolskiej i Episkopatu ogół inteligencji katolickiej zachowuje się po dziś dzień obojętnie wobec kwesji społecznej. Są wyjątki: garstka ludzi ofiarnych, którzy nie pozostali obojętni na zew Wielkiego Papieża i przechodząc do porządku nad zimnymi twarzami i kamiennymi sercami otoczenia, wytworzyli jakie takie instytucje pracy katolickiej wśród robotników. Gdyby ich nie było — Polska stałaby się, zaiste, niezaszczytnym wyjątkiem wśród wszystkich narodów cywilizowanych. Tylko bowiem Zulusi, Hotentaci, Buszmanie, Kirgizi et tutti quanti nie posiadają organizacyj chrześcijańsko-społecznych i nie znają Encykliki Rerum Novarum.

Trzeba zabrać się do uświadamiania społecznego inteligencji katolickiej w Polsce, poczynając oczywiście od młodego pokolenia. W przeciwnym razie czeka nas katastrofa. Życie nie znosi próżni. **Tam, gdzie niema inteligencji katolickiej — są wysłannicy kominternu!**

Fakt charakterystyczny. Katolicy francuscy tak mało piszą o Polakach i tak słaby z nimi mają kontakt. Ba! Nic dziwnego. Do niedawna jeszcze sfery występujące u nas oficjalnie, jako katolickie, żywszy utrzymywały kontakt intelektualny z heretycką „L'Action Française", niż z organizacjami społecznymi katolików francuskich, belgijskich, czy szwajcarskich. Cierpi na tem nasza propaganda zagranicą, czego dowodem jest chociażby ciekawy już sam przez się fakt, opisany w „Polsce" p. t. „W obronie podpalaczy przeciw Polsce":

Przed dwoma tygodniami zwróciliśmy uwagę Czytelników na bardzo daleko idące nieścisłości naczelnego organu katolików francuskich „La Croix" w artykule obrazującym sytuację w Małopolsce Wschodniej.

Uwagi nasze w obszernych wyjątkach przytoczyła redakcja „Messager Polonais".

W konsekwencji tego przedruku „Messager Polonais" otrzymał list noszący stempel pocztowy z Fryburga, w Szwajcarji.

O liście tym tak pisze „Messager Polonais":

List ten jest podpisany, lecz podpis jest absolutnie nieczytelny: widzi

się Dr. i E. stanowiące przypuszczalnie pierwszą literę imienia. Co zaś do nazwiska—to widnieje bazgrota: niema zaś wcale adresu.

Jest to więc list anonimowy i rzucilibyśmy go poprostu do kosza, gdyby nie posiadał on pewnych szczegółów, które upoważniają nas do przypuszczenia, że uważa się za powołanego do rozwijania, pod pokrywką anonimu, pewnej propagandy, której nie możemy tolerować.

Zauważamy mimochodem, że zwraca się on do naszej redakcji nietylko w swojem imieniu. Czyni on to w „imieniu katolickich studentów-Francuzów i Stowarzyszenia dla współpracy umysłowej polsko-francuskiej". Nie wiemy czy takie stowarzyszenie istnieje we Fryburgu, lecz powinno nas zdumiewać, w wypadku jeśli ono istnieje, to, że samo ono nie zwróciło się do nas oficjalnie, coby całkowicie zmieniło charakter wystąpienia.

Nie wiemy również kim są studenci francuscy, w imieniu których mówi autor listu, lecz uderza nas, że wzięli oni za rzecznika człowieka, który z pewnością nie znał francuskiego: jego list stanowił poprostu przekład z jednego z języków europejskich, który przyzwyczailiśmy się widzieć za każdym razem, o ile chodzi o nieprzyjazną propagandę dla naszego kraju.

Co się tyczy treści samego listu, to autor czyni nam wymówki, że „pozwoliliśmy" sobie powtórzyć w naszym „Przeglądzie Prasy" z dn. 12-go b. m. artykuł „Polski", — artykuł, w którym stwierdzono, że od pewnego czasu daje się zauważyć, w prasie katolickiej wszystkich krajów kampanję opartą na fałszywych informacjach i skierowaną przeciw Polsce ze względu na ostatnie wydarzenia w Małopolsce Wschodniej.

Artykuł ten, utrzymany zresztą w formie niezwykle poprawnej, stwierdzał, między innemi, że błędne wiadomości znalazły się także w „La Croix".

Dobrzeby więc było — konkludował dziennik — gdyby katolicy francuscy bliżej i dokładniej zaznajomili się ze sprawą ruską w Polsce, a nie ulegali wpływom „niewidzialnej ręki" agitacji ukraińskiej.

Najwidoczniej ten zwrot wywołał zły humor naszego korespondenta, który utrzymuje, że „Polska" prowadzi „akcję zapoczątkowaną przez waszego marszałka w stosunku do waszych biskupów i waszych katolików. „Polska" atakuje prasę katolicką wszystkich krajów mimo współpracy księży w bloku rządowym. My znamy ten ruch i rękę, która nim kieruje. Mamy informacje co do stanowiska bloku rządowego w stosunku do katolików polskich i sekciarzy polskich — marjawitów. Tak więc, nie możemy się skarżyć, że jesteśmy źle poinformowani".

(Ustęp ten autor anonimowego listu oparł prawdopodobnie również na wzmiance w „La Croix", którą omawialiśmy w naszym piśmie z dn. 7-go b. m. We wzmiance swej „La Croix" stwierdziło, że „w razie zwycięstwa rządu wolność religijna w Polsce będzie zlikwidowana i nastąpią tam prześladowania równe tym we Francji za Combesa i w Meksyku za Callesa". Przyp. Red.)

Nie rozumiemy na czem polega stanowisko przypisywane blokowi rządowemu w stosunku do katolików: nie rozumiemy aluzji do marjawityzmu, o ile przynajmniej nie chodzi o skazanie „arcybiskupa" marjawickiego Kowalskiego.

Pewni zato jesteśmy, że autor listu nie wie o tem, że „Polska" jest organem katolickim wydawanym przez „Dom Prasy Katolickiej" w Warszawie i że ostatnio jeszcze, podczas kampanji wyborczej odgrywał rolę wyra-

ziciela opinji ks. ks. biskupów i ogłaszał wezwania do wiernych, które, stosownie do wskazań Stolicy Apostolskiej, biskupi wydali w ich diecezjach dla zorjentowania wyborców-katolików.

Stwierdzamy, że „Polska" jest jedynym dziennikiem katolickim w Warszawie i że przypisywanie jej akcji skierowanej przeciw biskupom katolickim i katolicyzmowi świadczy o tak kompletnej ignorancji, że ten, który ją ujawnił, nie może być w żadnym wypadku upoważniony ani do przemawiania w imieniu katolicyzmu, ani do wydawania opinji—jakieby one nie były— na temat położenia katolików w Polsce.

Możemy zapewnić autora anonimowego listu, że mimo jego gwałtownych protestów nie omieszkamy na przyszłość „pozwalać sobie" umieszczać uzasadnione artykuły „Polski" czy innego dziennika: że nie pozwolimy, aby ktokolwiek mógł nam dyktować wybór artykułów cytowanych w naszym „Przeglądzie Prasy" i że nie przepuścimy żadnej okazji, aby trzepnąć po palcach każdego, kto w anonimowy—czy inny—sposób pozwoliłby sobie na złe informowanie prasy zagranicznej o tem, co się dzieje u nas.

Bardzo słusznie, trzeba w pewnych razach bić po rękach, aby ludzi nauczyć poszanowania praw naszej Ojczyzny. Lepsze jednakże naszym zdaniem byłyby pewne środki prewencyjne w postaci stałego kontaktu i propagandy, uniemożliwiającej z góry tego rodzaju wystąpienia.

* * *

W czasach, kiedy imperjalizm teutoński wyciąga drapieżną rękę po odwiecznie polskie ziemie, dobrze będzie zaznajomić się z sylwetkami tych, którzy budzili polaków na Mazurach Pruskich. Dlatego podajemy w całości artykuł „Polonji" p. t. „Trzej przywódcy duchowi Mazurów Pruskich":

Ciężka od wieków była dola Mazurów, zamieszkałych w krainie Tysiąca Jezior. Przez całe stulecie odcięci od pnia macierzystego, skazani byli na nędzę materjalną i moralną: na wynarodowienie. Niemcy, raczej Prusacy, używali wszelkich metod, ażeby zgładzić wszystko, co tchnie śladem polskości.

Plebiscyt zorganizowany w taki sposób, jak się odbył na Mazowszu Pruskim, wymagał bohaterów. Ale cóż nie każdy zdobyć się może na bohaterstwo... A mimo, że nietylko oddanie głosu za Polską, ale każdy objaw sympatji dla Polski, pociągnął za sobą więzienie, utratę mienia, a nieraz życia, lud mazurski wykazał się szeregiem jednostek, które na miano bohaterów zasłużyły.

Trzy nazwiska pięknemi zgłoskami zapisane są na kartach dziejów mazurskich bieżącego stulecia: Bogumił Labusz, Bogumił Linka i Michał Kajka.

Bogumił Labusz po ojcu Jakóbie odziedziczył szlachetny pęd do pracy społecznej. Od najmłodszych lat rwał się ku oświacie. Z chwilą pojawienia się w Ełku „Gazety Ludowej" — Labusz staje się jej gorliwym propagatorem i współpracownikiem. Jest on duszą zawiązanej w r. 1897

w Szczytnie „Mazurskiej Partji Ludowej", jednym z głównych założycieli „Banku Mazurskiego", Kółek Rolniczych, Towarzystw Ludowych. Nie odstraszają, ani zniechęcają go do pracy nad ludem mazurskim prześladowania władz policyjnych pruskich, ani sądy, ani więzienia, ani straty materjalne.

Ciężka długoletnia praca, walka z germanizatorami, więzienie pruskie wyczerpały siły tego niepospolitego działacza, nabawił się wreszcie podczas pracy społecznej ciężkiej choroby, która powaliła go na łoże boleści w klinice Królewieckiej. Przewidując bliski swój koniec, pragnął Labusz spocząć na ziemi mazurskiej. Uczyniono zadość życzeniom chorego. Nie sądzono mu było oglądać wioski rodzinnej. Zmarł w drodze dnia 19 marca 1919 roku. Prochy jego spoczęły w ojczystym Hozambarku. Żył Labusz lat 59 — plebiscytu nie doczekał się.

Drugim zasłużonym działaczem mazurskim w dobie plebiscytowej jest Bogumił Linka z Wawroch, któremu sądzone było skończyć tragiczną śmiercią.

Kiedy rozbrzmiewało po świecie hasło wolności ludów, rzucone przez szlachetnego prezydenta Wilsona, odetchnęła ludność Polska w Prusach— zaświtała im jutrzenka swobody. Zaczął jednak działać ze zdwojoną energją renegat Worgitzki, stając na czele „Mazurenbundu". Wysyła on na Kongres Wersalski odezwę, zaopatrzoną w 140 tysięcy podpisów mazurkich, przeważnie gwałtem wymuszonych, protestujących przeciwko oderwaniu Mazowsza Pruskiego od Niemiec. Dla zamanifestowania nastrojów polskich oraz dla zadania kłamu deklaracji Worgitzkiego udaje się Linka wraz z braćmi Zapatkami i innymi do Paryża. Po powrocie delegację aresztowano pod zarzutem zdrady stanu. Zwolnienie nastąpiło na żądanie marszałka Focha, lecz rozpoczęły się sądy w Olsztynie. Podburzona przez agitatorów tłuszcza napadła na Linkę obiła i okaleczyła. Ciężko złożony w szpitalu olsztyńskim dokończył ów wierny syn mazurski żywota w otoczeniu garstki oddanych mu ludzi nieustraszonych...

Przeżył plebiscyt współpracownik niemniej oddany sprawie świętej, pieśniarz mazurski, mieszkający we wsi Ogródek — Michał Kajka. Przetrwał on okropne czasy plebiscytu, patrzył na trumny zasłużonych towarzyszy, na rozboje, grabieże, barbarzyństwo Prusaków. Sądzone mu było słowem polskim, pieśnią polską krzepić ducha wśród ziomków. W najcięższych chwilach ucisku nie upadł na duchu, wzywał matki mazurskie do nauczania dziatwy polskich modlitw i pieśni, pragnął, ażeby młodzież „pokochawszy język ojców podług jego poematów" zawróciła z drogi germanizmu.

Proste, niekunsztowne utwory wierszowane Kajki malujące ból i cierpienie duszy mazurskiej, lub śmiało krytykujące zachłanność pruską utrafiły do serc ziomków — uczy się ich młodzież, deklamuje na żebraniach. Siedemdziesięcioletni pieśniarz z Ogródka w powiecie Łeckim zjednał sobie szacunek i serca licznych braci, którzy się doń o radę i zdanie zwracają. W ciężkich chwilach zwątpienia dodaje im otuchy siwowłosy starzec, który niejedną przetrwał burzę.

Żywimy nadzieję, że i w tej dzielnicy jeszcze polskość się odrodzi. Będzie to zależało nietylko od Mazurów, lecz także

w dużej mierze od rozwoju i potęgi Macierzy Polskiej — Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a więc i od nas — inteligencji polskiej, którzy tę potęgę pracą naszą tworzymy. (*s. k.*)

DZIAŁ LITERACKO-OPISOWY.

Wspomnienia jakich wiele.

(dalszy ciąg)

Przeszło kilka miesięcy od pogromu w Łąkach. Przyjechał syn, i skłonił sędziwą Matkę przenieść się na mieszkanie do córki, pani Marji Skibniewskiej której majątek, Popowce, oddalonym był od Łąk o 15 wiorst. Nie było nawet mowy o tem, ażeby próbować przekraść się przez granicę, za którą rozciągała się przecie długa i szeroka Ziemia Złotej Wolności— Polska. Ale te panie, i matka i córka były przekonane, że ich obowiązek nie pozwala im opuszczać placówki polskiej, i jako niewiasty kresowe, stojące na straży, wytrwać muszą na posterunku do końca.

Popowce uniknęły szczęśliwie pogromu w pierwszym okresie. Nastał czas pewnego uspokojenia. Następna zima i lato przeszły w tym zakątku bez gwałtownych wtrząśnień i przejść zanadto tragicznych. W tym czasie pani Skibniewska objechała po kolei wszystkie okoliczne dwory i tam, gdzie podobnie jak w Łąkach, przetrwały jeszcze „uparte" staruszki-obywatelki, na zgliszczach zburzonych siedzib i zdruzgotanych nadziei, zabrała je wszystkie do siebie. Każda z tych pań otrzymała osobny pokój w obszernym dworze i zamknęła się w nim, ze swoim światem wspomnień i smutków.

Do niedawna przecież te ściany rozbrzmiewały gwarem wesołości młodego pokolenia. Pani Skibniewska była już podówczas wdową, a wyhodowała dziewięcioro dzieci, silnych, zdrowych, pełnych życia i zapału. Dziś, tylko najmłodsza ośmioletnia Marynia, zwana „Mynką", pozostała przy matce. Najmłodszy z synów uczył się jeszcze w kijowskich szkołach, a pięciu walczyło jak lwy na wszystkich frontach o niepodległość Ojczyzny. Dwie córki w czołówkach pielęgnowały rany naszego żołnierza.

Oprócz Mynki, bawił jeszcze w Popowcach siedmioletni Sławek Czajkowski syn rodzonej siostry pani domu

Ponuro teraz wyglądał dwór, stawszy się schroniskiem zbiedzonych staruszek. Los ich pomijamy w opowiadaniu, gdyż wszystkie powoli gdzieś się rozproszyły. Zaznaczymy tylko nazwiska: pani Marji Zaleskiej z Zuzuliniec, pani Herminji Nowakowskiej z Zerebek i panny Olszańskiej, osoby średniego wieku, która wzięła na siebie opiekę nad dwojgiem dzieci: Mynką Skibniewską i Sławkiem Czajkowskim. Wśród nich wszystkich uwijała się jeszcze, w pełni zasobu sił, pani tego domu, Marja Skibniewska, troszcząc się o wszystko i walcząc z przygniatającymi trudami gospodarstwa.

Pomimo pozornego uspokojenia, wciąż jednak wrzało w okolicy, i zdala coraz straszniejsze dochodziły wieści. W Kijowie bolszewicy zamordowali Władzia Trzebińskiego, w czasie masowego pogromu oficerów, nie odróżniwszy jego polskiego munduru. Zaledwie rodzina odszukała zwłoki i pochowała na cmentarzu katolickim, — ojciec jego, a brat pani Skibniewskiej, Dr. Stanisław Trzebiński schwytany został przez czerezwyczajkę i popędzony hen — daleko — do Moskwy!

W najbliższej okolicy też grzmiało tragedją. O kilka wiorst od Popowiec zamordowano w Łyczówce panią Mińkiewiczową, matkę ówczesnego ministra w Polsce, — wraz z synem Feliksem... W Wołoczyskach padł na progu swego pałacu od strzałów zbójeckich pan Leon Ledóchowski, a razem z nim, bawiący u niego w gościnie krewni żony, dwaj panowie Sobańscy.

Wreszcie nadeszła hiobowa wieść, że zginął na szańcach Lwowa ukochany syn Jurek, obok stryjecznego brata Włodzimierza Skibniewskiego. Tym los dał przynajmniej w udziale pomnik na mogile i wieniec chwały od rodaków.

Wszystkich tych wstrząśnień moralnych nie wytrzymały nerwy stargane starej Babci Trzebińskiej. Dostała ataku paraliżu. Zdawało się, że już się nie obudzi. Przez dwa dni nie drgnęła nawet, ustami nie poruszyła. Odtąd zupełnej przytomności nie odzyskała już nigdy, ale leżała bezwładnie całymi dniami i tylko nocami, często powtarzała jakieś słowa nieskładne, wspominała nazwiska dawno zmarłych bliskich osób i zdawało się, że już nie zdolną jest odczuć grozy wypadków, że już przestała cierpieć.

Jak zobaczymy, — nie tu jeszcze był kres jej męczeńskiego życia. — Tymczasem cierpiała za matkę, siebie i wszystkich dzielna pani Skibniewska.

Pewnego dnia posłano z jakimś rozporządzeniem naglącem do domu ekonoma. Posłany chłopiec wrócił z włosami najeżonymi przerażeniem. Zastał ekonoma z rodziną, t. j. pięć osób pławiących się w kałuży krwi. W nocy zginęli oni wszyscy w tajemniczy sposób z ręki jakiegoś zbója oprawcy.

Pięć trumien złożono jednocześnie w jednym grobie i tam czekają one dnia sądu Bożego.

Aż wreszcie — przyszła kolej i na dwór w Popowcach.

Ale zanim nadszedł koniec ostateczny, osiem napadów rozmaitych wytrzymać musiały, wyczerpane do najwyższego stopnia, nerwy mieszkańców nieszczęsnego dworu.

Przedostatni napad daje nam dokładny obraz tych mąk, strachu i znęcań, jakie zaczęły już stanowić dla nich niemal chleb powszedni.

Dnia 8 maja 1919 roku, bolszewicy wtargnęli tłumnie do Popowiec i kazali sobie podać kolację i wódkę. Komitet miejscowy gminy, w którym zasiadały jeszcze osoby o odrobinie poczuć ludzkich, potrafił ich wyprowadzić na noc do wsi. Lecz nazajutrz, o godzinie 6 rano, już byli z powrotem we dworze. Plądrowali po wszystkich pokojach, łamali szafy i szuflady, zabierając co się dało: bieliznę, ubranie, sztućce— żądali natarczywie pieniędzy, potrząsali gwałtownie leżące w łóżkach staruszki, szukając u nich skarbów pod poduszką. Panią Skibniewską przeciągnął jeden z nich potężnie grubym sznurem przez plecy. Na głowie panny Olszańskiej rozbił drugi butlę z jakimś płynem, buchając jej w twarz czkawką wzbierającą od wymiotów.

Naraz wpada służący Onufry: „Proszę uciekać do ogrodu, bo oni tu w tej chwili bombę do domu rzucą".

Nastał zamęt nie do opisania. Panna Olszańska chwyciła dwoje dzieci, Mynkę i Sławka i uciekła z nimi daleko nad staw. Pani Skibniewska próbowała ratować matkę i inne staruszki.

Tym razem jednak, jeszcze miały być ocalone Popowce i ich mieszkańcy, bo niespodzianie nadjechała tak zw. „kontrol", której doniesiono (może to zrobił komitet miejscowy),

że w Popowcach „buszujut". Władze bolszewickie niechętnie pozwalały na pogromy, wówczas gdy same były nie obecne i nie mogły się przytem obłowić. Kazano więc natychmiast „ubiratsia" rabusiom, ale zrabowanych rzeczy nie zwrócono.

I znów zapanował spokój i cisza na czas pewien, a słowiki znowu zaczęły śpiewać jak dawniej, jak gdyby chciały wynagrodzić mieszkańcom krzywdy wyrządzone przez ludzi.

Powrócono do zwykłych zajęć, ale pani Skibniewska była już inną jak zwykle. Zaczęto się o nią niepokoić. Miewała wypieki na twarzy i oczy jakieś zmienione. Sen straciła, — po nocach płakała. Czasem całemi godzinami siedziała przy oknie i czytała, ale co? — bajki dziecinne. Czasami trzeba było po kilka razy powtórzyć jedno i to same pytanie, zanim się odpowiedź otrzymało. Wyczerpywały się już widać jej siły duchowe.

Tymczasem zaczęły krążyć głuche wieści, od których serca rosły otuchą. Wojsko polskie zajęło Zbaraż, podjazdy były już nawet w Łąkach! Co za radość! Co za gorączka nadziei! Pani Skibniewska odżyła na chwilę. Zaczęła wołać z siłą rozpaczliwego przekonania: „Przetrwamy! — przetrwamy!".

W pobliskim Teofilpolu chłopi przygotowywali powstanie. Petlurowcy mieli je popierać i zaczęto przebąkiwać powszechnie, że nadszedł koniec bolszewikom. Ale niestety, powstanie Teofilpolskie nie udało się. Nie było umiejętnych dowódców O polskiem wojsku wieści jakoś przycichły, a bolszewicy od tego wszystkiego wzrośli w aureolę.

Dnia 15 czerwca wieczorem zaczął zjeżdżać do Popowiec sztab petlurowski. Miał on przynajmniej zabezpieczyć życie mieszkańców. Zajęli salę jadalną, przedpokój, całą górę. Ustawili telefon.

Ale jakież to było wojsko! często bose, obdarte, źle uzbrojone, — istna zbieranina mętów społecznych. I to miała być ostoja porządku i ładu w kraju!

A tu, tymczasem, zaczęły napływać ogromne wozy ładowne z obywatelstwem i ludźmi chroniącymi życie i mienie. Ciągnęły podwody z krowami, inwentarzem i wszelkim dobytkiem. Lud wiejski nawet ruszył się do ucieczki. Cały wjazd do Popowiec zajęły podwody, rozlokowali się wszędzie ludziska.

Wiadomości najsprzeczniejsze krzyżowały się nieustannie: pozycja w Teofilpolu, w Czarnym Ostrowiu—front. Płoskirów w ręku polskim. A tu wciąż huczą armaty, strzelanina nieustanna.

18 czerwca od strony Bazalji telefon przestał działać, a żołnierze petlurowcy wpadli oznajmując, że do Bazalji werwali się bolszewicy. Było to późno wieczorem, sztab ukraiński jeszcze siedział we dworze.

Naraz o 3 w nocy zaczęła się straszna kanonada, huk nieustający. Cały dom trząsł się w posadach. Wśród okrutnego harmideru i popłochu—sztabowcy uciekli.

Rozum wskazywał, że nastała ostatnia chwila dla pani Skibniewskiej i jej domowników do niezwłocznego wyjazdu. Posłano po wozy, a tymczasem konieczność wskazywała przebrać się w ubrania chłopskie, ażeby ocalić życie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że za parę godzin zjawią się bolszewiki w Popowcach i nastąpi pogrom, a wówczas, ktokolwiek zostanie tutaj z panów dworu i nie zdoła sie ukryć, zginie okrutną śmiercią.

Przyznać trzeba, że chłopi miejscowej wsi okazali tu pewną życzliwość, współczucie i nawet pomoc. Najprzód nie przeszkadzano zaprzęgać wozów dworskich, a od chłopa Antypa dostarczono potrzebne spódnice i kaftany do przebrania państwa.

Ale jakieś nieubłagane fatum zaciążyło nad panią Skibniewską. Ze wszech stron naglono ją gorączkowo do jaknajszybszego wyjazdu,— a ona, jakby nie rozumiała grozy położenia, marudziła, zaczęła dzieci pakować, porządkować, zabierała najniepotrzebniejsze przedmioty,—traciła bezpowrotnie drogi czas, pogrążając siebie i rodzinę w otchłań coraz większego niebezpieczeństwa. Zaledwie o 6-ej rano położono trzy staruszki: panią Trzebińską, panią Zaleską i panią Nowakowską każdą na osobny wóz, a naokoło, w przebraniu, pieszo ruszyli młodzi i dzieci.

Już przy bramie natknięto się na awangardę bolszewicką. Był to pierwszy patrol, złożony tylko z trzech ludzi, lecący od strony Bazalji, zapewne w celach wywiadowczych.

Na szczęście liche konie u wozów i gromadka po chłopsku ubranych ludzi, nie wzbudziły widać u nich podejrzenia, bo

zakrzyknęli tylko: Kuda?—zaczem? gdzie chaziajka? (Dokąd? poco? gdzie gospodyni?) i popędzili do dworu nagleni jakiemś pilnem zleceniem.

Złowieszczy jakiś obłęd owładnął chyba umysłem biednej pani Skibniewskiej, bo wbrew najprostszej logice i zdrowemu sensowi, który wskazywał, że należy uciekać gdziekolwiekbądź, byle nie w stronę Bazalji, skąd widocznie nadciągali bolszewicy,—ona właśnie kazała skręcić w tę stronę, kierując się prosto w paszczę potwora. Niechby jej bodaj udało się odjechać od Popowiec wiorst dziesięć,—wkroczyć w obręb gruntów innej wsi, —jużby była uratowana. Ale właśnie ona, — pani tego sioła, przyłapana w pośród swoich własnych dóbr, — to była owa zbrodniarka, co tyle lat „tuczyła się krwią i potem biednych mużyków" i jako taka podlegała, wraz z całą rodziną, sądowi doraźnemu wściekłej tłuszczy i natychmiastowej egzekucji. Jakoż smutne następstwa tej strasznej pomyłki nie kazały na siebie czekać. Nie wyjechano jeszcze ze wsi, kiedy około domu dworskiego kowala, biednych zbiegów otoczył ogromny oddział bolszewicki.

„Kuda? Zaczem? Jeśli, wy ludzie, dobrze żyły z krestjanami, to czemu uciekacie? wiernites nazad!"

Zawrócili dwa wozy i popędzili gromadkę pieszych, pod czujną strażą, nazad do dworu. Niewiadomo czemu wóz z panią Trzebińską pojechał dalej przez wieś, nie powstrzymany. Dziwne i niezbadane są zrządzenia losu. Ten nieznaczący zdawało się szczegół, ocalił na razie życie starej Babci; wóz na którym jechała zatrzymał się wprawdzie u krańców wsi, uniknął jednak pierwszego zaaresztowania przez bolszewicką hałastrę i powrócił do domu cichaczem, co umożliwiło poczciwemu staremu służącemu, Onufremu, zdjąć staruszkę z wozu i zanieść do odległej altanki w parku.

Główny zastęp zbiegów, z samą właścicielką, oraz dziećmi, panną Olszańską i szczególnie zagrożoną staruszką, panią Zaleską z Zuzuliniec, sławną w okolicy ze swoich bogactw, a także z panią Herminją Nowakowską z Żerebek, przywleczono na dziedziniec dworski.

Trudno było na razie rozpoznać „burżujów" pod chłopskiemi przebraniami. Tłumy ludu wiejskiego zebrały się przed

gankiem dworu. Zbiegów posadzono opodal na ławce przed oficyną.

Gromada litościwszych kobiet zdołała ukryć między sobą dzieci pańskie i pannę Olszańską, która udawała służącą.

Tymczasem nadciągnął nowy oddział. Byli to chińczycy, straszni, czarni, jak szatany, a razem z nimi zwaliła się horda chłopstwa z sąsiednich Żerebek i Szmyrek, pijana, ziejąca żądzą krwi i rabunku.

Powstał zamęt nie do opisania. Tłum ludzi wparł się na ganek i do pokojów. W mgnieniu oka prysły wszystkie drzwi i okna dworu; ściany, pod naporem ludzkim poczęły trzeszczeć. Niektórzy konno parli do wnętrza, aby przyspieszyć sobie upragnioną zdobycz.

Zamęt przemieniał się w piekło!

Setki szabel i pięści rozbijały szafy, komody,—zkąd wznosiły się tumany pierza, mąki rozpylonej, wszelakiego kurzu. Pryskały rozbite butle z winem, wódką, syropem, — nawet z lekarstwami i benzyną. Stłuczone szkło raniło ręce sięgające po zdobycz, a płyny, o rozmaitej woni, oblewały rozbestwione łby, ociekające krwią i potem.

Ludzie w szale bili jedni drugich.

Atmosfera stawała się duszną nie do wytrzymania; opary różnorodne, zmieszane ze swędem wyziewów ludzkich, chwytały za gardło i tłumiły oddech.

Podczas tych orgji, pani Skibniewska siedziała na swojej ławce przed oficyną, cała czerwono-sina. Błędnym jakimś wzrokiem patrzyła w dal, a przy ustach trzymała, znaleziony przypadkiem, kawałek czarnego chleba. Ale go nie jadła i nic nie mówiła.

A tu piekielne wrzaski wciąż rosły i wzmagał się hałas złorzeczeń i przekleństw.

Raptem dały się słyszeć głosy: „Gdzie chaziajka? — Dawaj chaziajku!"

Wypadło trzech z sieni do ławki pani Skibniewskiej: „A eto kto?"

„To klucznica",—odpowiada jakiś głos ludzki.

„A czemu sama nie howoryt?"

W mgnieniu oka zebrał się olbrzymi tłum wokoło ławki, chciwy krwi i żądny zemsty nad tą, co urosła w bogactwa,

z rzekomego ucisku ludu. Tłum instynktownie przeczuwa w tej bezbronnej kobiecie gospodynię domu. On dyszy żądzą „chaziajki"!

O biedna Pani!—Próżno się ukrywasz. Znajdą się judasze, co ciebie poznają i wydadzą!

Jeszcze raz litość ludzka stara się ją obronić. Odzywa się głos: „To klucznica i ona bolna".

Ale głos judaszowy nie każe na siebie czekać: „Ona chaziajka, przebrana za klucznicę. Znamy ją! Sto tysięcy kontrybucji z niej, krowopijcy!..."

I z tysiąca gardzieli huknął tryumfalny wrzask: „Chaziajka! dawajcie ją tu!..."

Powleczono panią Skibniewską do dworu i zapadła zasłona na bezecne gwałty rozszalałej tłuszczy, nad nieszczęsną panią, w jej własnym domu. A wśród ludzi zebranych na podwórzu, zapanowała odrazu uroczysta cisza, na kształt tej, co zalega przed wybuchem burzy. Takie skupienie ogarnia tłumy, w oczekiwaniu rzeczy strasznej i nieuniknionej.

We dworze tażke zapanował dziwny spokój. To ludzka chciwość szukała skrzętnie pieniędzy na osobie pani Skibniewskiej i przez tortury zmuszała ją do wyznania gdzie je ukryła.

Po kwadransie... długim jak wieki... znaleziono widać pieniądze i naraz rozległ się złowieszczy trzask, głuchy odgłos salwy karabinowej.

„Koniec!... Niema już naszej Pani!..." ozwał się jakiś głos z tłumu.

W paru miejscach cicho zapłakano,... a w głębi litościwa jakaś dusza poczęła szeptem odmawiać: „Wieczny odpoczynek, racz Jej dać Panie"!

* *
*

Po ohydnym mordzie dokonanym na pani Skibniewskiej rozszalała bestja ludzka, nie skończyła swego krwawego dzieła. Poczęto szukać niewinnych dzieci, ażeby je zabić.

Przyznać trzeba, że w każdej gromadzie, znajdują się przecie ludzie, w których nie wygasło ostatnie uczucie litości. Chłopi miejscowi, przez dni kilka, przechowali biedne dzieci wśród siebie, przeprowadzając je codzień na noc do coraz innej chaty, a dniem kryjąc wśród robotników, pracujących na wiej-

skich ogrodach. Takim sposobem ocalały one, razem z panną Olszańską, ich opiekunką.

Ale, poszukując dzieci właścicielki majątku, natknął się żądny mordu tłum, na dwie staruszki: panią Zaleską i panią Nowakowską, co na uboczu oczekiwały końca tej strasznej tragedji. Poznano je, jako bogate obywatelki i zaciągnąwszy sznury na ich szyje, ciągniono po ziemi blisko wiorstę na gnojowisko, ażeby je tam zamordować wśród stada.... wieprzów! Tym sposobem zadusiły się w drodze biedne męczennice, a trupy już tylko przywlokły te szatany na miejsce projektowanej kaźni i tam porzuciły, przejeżdżając w końcu wozami po szczątkach ludzkich, ku większemu ich pohańbieniu.

A zwierzęta..... patrząc na szały tej ludzkiej dziczy... z pewnością odwróciły się ze wstrętem... od zwyrodniałych i haniebnych czynów — tych demonów nienawiści.

Owego dnia zatracenia, — krwawo zachodziło słońce na ruinie polskiego dworu na Kresach.

* * *

Na zakończenie obrazu pozostaje już tylko opowiedzieć losy Babci Trzebińskiej. Zaniesiona przez służącego Onufra z wozu do altany w parku, tam przeleżała cały ów dzień tragiczny. Zupełnie już wieczorem, wyśledzono wreszcie i ją i zaczęto starą, niedołężną kobietę.... bić!

Bili bez miłosierdzia.... po głowie, piersi i plecach, — a Ona, dziwnie zahartowana mocą swego niezłomnego ducha, wytrzymała te męki jak święta, — po bohatersku. Pod wpływem razów odzyskała przytomność i mówiła do oprawców:

„Bijcie, możecie mnie zabić, ale ja się was nie boję, bo idę do Boga i modlić się za was będę".

To znęcanie się nad bezbronną, umierającą kobietą, — już nawet w tłumie katów wzbudziło drgnienie sumienia. Zaczęto wołać, że ona „z czużoho sioła", że ją trzeba zostawić,— niech sama zamrze.

Wzięli ją więc i przenieśli do sterczącego jeszcze szkieletu dworu i porzucili na kamiennej podłodze oranżerji. Postawili przytem wartę, ażeby nikt nie śmiał podać jej kawałka chleba, ani nawet wody, grożąc, że zakolą i spalą tego, ktoby się na to odważył.

Dwa dni tak przeleżała staruszka sama jedna.... i nie umarła!

Następnie, warta stała się mniej srogą; instynktownie zaczęła się coraz więcej od dworu oddalać i od tej starej Pani, co tak strasznie wciąż leży na jednem miejscu, a jednak żyje... i żyje! Poczęto myśleć że to są czary i strach paniczny ogarnął ludzi. Wówczas to, poczciwsze kobiety ze wsi i panna Olszańska w przebraniu, mogły nocami podchodzić do biednej staruszki i nosić jej jedzenie i jaki taki opatrunek.

Pani Trzebińska ciągle wzywała swej córki Skibniewskiej, wołając bez przestanku: „Gdzie Marynia? — Gdzie Marynia? — a pannie Olszańskiej wymawiała, że ją opuszcza.

Tak przeszedł cały okropny jeden tydzień!

Wreszcie bolszewicy wyszli ze wsi, a komitet wiejski pozwolił Babcię przewieźć do Łąk rodzinnych. Postarano się o wóz wymoszczony i panna Olszańska mogła zabrać umierającą już prawie staruszkę.

Była nieprzytomna, patrzyła na ludzi błędnemi oczyma, kazala podawać sobie wina, cytryny, rosołu z kury, — a były to przecie produkty, w tej chwili, niedostępne.

I pani ta, co była przez lat kilkadziesiąt krzewicielką kultury w okolicy i aniołem stróżem chorych, biednych i dzieci, wróciła do swoich dóbr, — do swego dworu, — ale wróciła jak łazarz. — Nie miała nawet jednej koszuli na zmianę!

Wśród rumowisk pogromowych, zdołano uprzątnąć jedną izdebkę, — z trudem wynaleziono łóżko, pozatykano dziury w ścianach — i tam miesiąc jeszcze cały pani Trzebińska walczyła ze swem skołatanem, sparaliżowanem ciałem, pod czułą opieką panny Olszańskiej, która jej na krok nie odstępowała.

Ostatni ten krótki okres, widocznie potrzebnym był niezłomnemu duchowi,—do wyzwolenia się z więzów cielesnych. Popsuty aparat już źle funkcjonował na zewnątrz,—ale dusza coraz więcej obcowała wewnętrznie z Bogiem, bo widać było nieraz wargi poruszające się modlitwą, a twarz przybierała wyraz poddania woli Bożej i jakiejś rozkosznej, anielskiej radości.

Wreszcie,—zakończyła pani polska kresowa swój męczeński żywot... tak jak przystało na Polkę wysokiego stylu... na posterunku!

* * *

W pogodny wieczór sierpniowy, sunął drogą do kościoła w Kupielu,—cichy kondukt pogrzebowy.

Ksiądz z Bazalji eskortował ubogą trumnę, poprzedzany przez jednego tylko chłopca w komży, z krzyżem w ręku. Za wozem postępowała gromadka ludzi w uroczystem skupieniu.

U wrót kościelnych proboszcz kupielski, w czarnej kapie, czekał ażeby spotkać i pokropić ciało,—a nazajutrz, o brzasku dnia, dwie msze ciche wyszły jednocześnie—złożyć na ołtarzu błagalną ofiarę—za duszę zmarłej Pani z Łąk.

Jak na bolszewickie czasy — dwóch księży — to była parada niebywała, która mogła się nawet stać niebezpieczną. To też należało się bardzo spieszyć z pogrzebem.

Dzień powstał dziwnie słoneczny i ze świeżością poranku, tchnął jakiś radosny spokój na ów majestat śmierci. Kilka zaledwie osób modliło się u stóp ołtarza... ale całe chóry anielskie zdawały się wypełniać świątynię i przenikać do wnętrza, razem z promieniami słońca, co aureolą złota ubrało trumnę ofiary—spełnionego obowiązku aż do końca.

Tak legła w rodzinnym grobie, na wiekuisty spoczynek, ta prawdziwa chrześcijanka, obywatelka i męczennica.

* * *

Wspomnienie obecne o dwóch mężnych niewiastach—na posterunku, to wspomnienie jakich wiele, — jakich może cały legjon naliczyć by można w polskiej martyrologji Kresowej Wielkiej Wojny.

Legjon ten padł w obronie świętej sprawy ojczystej: — krzewienia wiary i kultury na wschodnich rubieżach.—Tak pojmawali Ojczyznę, w blaskach jej Boskiego posłannictwa, — ci rycerze kresowych strażnic.

Należy się ich świetlanej pamięci skrzętne przechowanie relikwji tych bohaterskich zapasów. Ich ofiara, ich prace i krew przelana, — to ziarno, co służyć będzie na posiew Boskich przeznaczeń w przyszłości; nie może przeto pójść na marne i zaginąć. Wcześniej czy później, Polska — jako Państwo, czy Polska—jako Naród,—pójść musi... i pójdzie drogą wyznaczoną jej przez Opatrzność, — pomimo... i wbrew — wszelkim ludzkim rachubom!

Pomimo tych, co wyrzekli się dzisiaj, na terenach od wieków przez nas apostołowanych i uprawianych, — miljona polskich dusz,—i miljardów polskiego mienia, pozostawionych na pastwę bestji i zagładę Boskiego Imienia.

Waldemar Weyssenhoff.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Orędzie ks. Kardynała Prymasa w sprawie Akcji katolickiej. (KAP) JEm. ks. Kardynał Prymas August Hlond wydał do wiernych swych diecezyj orędzie w sprawie Akcji katolickiej następującej treści:

„Kochani Diecezjanie!

Przy różnych okolicznościach zabierałem głos i z otwartością omawiałem położenie wiary i Kościoła w kraju. Podnosiłem niewątpliwą poprawę wewnętrznych stosunków kościelnych i radosne objawy wznawiającego się ducha Chrystusowego o pierwotnej sile i czystości. Odsłaniałem zarazem błędy i szkody, odkrywałem niedomagania, wskazywałem na źródła, z których się po kraju zło rozlewa. Podkreślałem potrzebę ogólnego wysiłku odrodzeniowego i zaznaczałem, że powinien on się dokonać wspólnym czynem duchowieństwa i świeckich, bo sprawa Boża obowiązuje zarówno hierarchję, jak ogół wiernych. Zapowiadałem powołanie zorganizowanej armji działaczy Chrystusowych, która przy świątobliwem życiu pełnić będzie służbę apostolstwa świeckich w Akcji katolickiej.

Nie zapowiadałem nic nowego. Apostolstwo świeckich było cechą pierwotnych gmin kościelnych. Do niego powołane zostały w ciągu wieków trzecie zakony, sodalicje marjańskie i inne niezliczone zrzeszenia, zrodzone z wytężonej myśli religijnej. Gdy zaś z biegiem czasu idea ta pod wpływem nieprzychylnych chrześcijaństwu wypadków i prądów osłabła i do tego doszło, że ogół wiernych mało zajmowały zagadnienia wiary i interesu Kościoła, które uważać zaczęto za wyłączne prawo i obowiązek stanowy duchowieństwa, wzywali raz po raz Papieże katolików do zorganizowania się dla podtrzymywania gasnącej w świecie myśli Bożej. Od Papieża Leona XIII. mnożą się znamienne oznajmienia i wskazówki Stolicy Świętej w tym przedmiocie.

Znalazły one w Wielkopolsce karny posłuch. Na podatnym gruncie tutejszych stosunków kościelnych stworzył wybitny Prymas ks. Florjan Stablewski katolicki ruch oświatowy i społeczny, powołując do życia te zrzeszenia, które pod pieczołowitą opieką niezapomnianego ks. Kardynała Edmunda Dalbora urosły w ważną gałęź naszego życia katolickiego. Inicjatywę tych wielkich moich poprzedników poparło zgodnym wysiłkiem duchowieństwo i stawili się na ich wezwanie do współpracy katolicy wszystkich warstw. Mają dzisiaj nasze Archidiecezje szereg organizacyj katolickich, połączonych wspólnością celów i zadań, a działalność ich uzupełniają zasłużony „Przewodnik Katolicki” i tak poważne instytucje, jak Ka-

tolicka Szkoła Społeczna w Poznaniu i krocząca na czele katolickiego ruchu wydawniczego w Polsce Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha.

Ojciec św. Pius XI., snując myśl swych Poprzedników, ustalił ostatecznie zadania Akcji katolickiej i ściśle oznaczył jej stosunek do Kościoła. Celem Akcji katolickiej ma być współpraca świeckich z hierarchją dla odnowienia świata w Chrystusie. Jak święte i rozległe jest Boskie posłannictwo Kościoła, tak szerokie i uświęcone są dziedziny Akcji katolickiej. Dostosowując się do warunków i uwzględniając potrzeby bieżącej chwili, ma Akcja katolicka wprowadzać Chrystusa w życie jednostki i w rodzinę, w powikłane zagadnienia i formy nowoczesnego życia zbiorowego i we wszystkie czynniki cywilizacji chrześcijańskiej.

Apostolstwo Akcji katolickiej ma to do siebie, że nie jest prywatne, lecz publiczne i urzędowe, bo jest udziałem w hierarchicznem apostolstwie duchowieństwa. Z natury rzeczy wynika, że takie apostolstwo wykonywane przez wszystkie zastępy Akcji katolickiej, ma nierównie większą powagę, większą moc wewnętrzną i większą zewnętrzną skuteczność, niż apostolstwo prywatne i indywidualne. A dlatego, że Akcja katolicka jest istotnie akcją religijną, a Kościół musi mieć bezwzględną pewność, że z dopuszczenia świeckich do udziału w apostolstwie hierarchicznem nie urosną, ani wierze, ani sprawie Bożej żadne szkody, musi Akcja katolicka na wszystkich stopniach swej organizacji pozostawać pod nadzorem hierarchji i od niej zależeć.

Po długich i szczegółowych przygotowaniach także w Polsce przystępuje w tej chwili do swych zadań Akcja katolicka pod kierownictwem stałej Komisji Episkopatu. W Poznaniu ustanowiona została jej Centrala Krajowa pod nazwą: Naczelny Instytut Akcji katolickiej, do którego weszli: jako prezes hr. Adolf Bniński, a ks. dr. Stanisław Bross jako dyrektor. Równocześnie odbywa się po diecezjach przegląd ugrupowań, które tworzyć mają pierwsze kadry Akcji katolickiej. Od stycznia roku przyszłego wychodzić zacznie jako pismo miesięczne jej organ p. t. „Ruch Katolicki".

Nadeszła w ten sposób także dla wielkopolskiego życia Kościelnego niezmiernie ważna chwila, w której zorganizowane w związkach i instytucjach siły katolickie złączyć się mają w żywy zespół dla zadań właściwych Akcji katolickiej. W ramach ogólnego Statutu konstytucyjnego dekretem z dn. 25 listopada rb. powołałem do życia Archidiecezjalny Instytut Akcji katolickiej w Poznaniu, któremu przewodniczyć będzie jako sekretarz Akcji katolickiej znany ze swych organizacyjnych prac ks. Ludwik Jarosz. Do archidiecezjalnej Rady Akcji katolickiej wejdą delegaci związków, do Akcji katolickiej przyjętych, i inne osobistości, przezemnie powołane. Po parafjach zaś będzie miała Akcja katolicka swoje najwłaściwsze pole działania i swoje naturalne ośrodki, w których zespolą się dla jej celów w ustalonym stosunku do X.X. Proboszczów organizacje katolickie, do niej dopuszczone.

Z załączonych do nininiejszego pisma statutu i regulaminów poznacie organizacyjny układ Akcji katolickiej w Polsce w naszych archidiecezjach i po parafjach. Są to ramy ustawowe, w które wstawić musimy wartościowy i żywy obraz wysiłku, czynu, karności i zgody. Ani ustawy, ani technika stowarzyszeniowa, a tem mniej sztywność organizacyjna lub martwota rutyny nie stworzą cudu zmartwychwstania. Akcja katolicka nie

może być pustką, ani bezczynem, lecz kuźnią myśli, porywów i pracy. Nie ma ona nic wspólnego z ciasnotą myśli, z jałowemi formami, ze stęchlizną sporów i uporów. Zrzeszenia wejdą przez bramę Akcji katolickiej na słońce Boże, na bezbrzeżne łany Kościoła w przeobfite, a dojrzałe żniwo Chrystusowe. Jakaż je tam czeka praca błogosławiona! Jeżeli dobrze pojmą swą rolę, jeżeli przestaną być organizacjami dla siebie, a poczują się armją Chrystusową, nietylko nie sprzeniewierzą się swoim celom, ale je uświęcą i w wyższym stopniu spełnią. Na gruncie wspólnej pracy dla Królestwa Chrystusowego nie zatracą swego odrębnego ustroju, ani swej samodzielności, ani swych cech charakterystycznych, ale zyskają na powadze, na pewności kierunku i na siłach. Akcja katolicka nie będzie ich krępowała lecz je ożywi i wzmocni. W ukochaniu wspólnej świętej sprawy będą z sobą współzawodniczyć w rzeczywistych wartościach, bez próżnego przesadzania się w zewnętrznych pozorach. Zdala od intryg, zazdrości i fałszu walczyć będzie Akcja katolicka w wzajemnem zaufaniu i w głębokiej odpowiedzialności wszystkich za wszystko, nie o doczesne wawrzyny, lecz o zwycięstwo prawdy Chrystusowej i Jego prawa.

Kochani Diecezjanie! W tej powszechnej mobilizacii pod znakiem Chrystusa wasze miejsce tam w organizacjach katolickich, które po waszych parafjach już istnieją i jeszcze powstawać będą. W nich zaostrzycie swój zmysł katolicki, uświadomicie sobie lepiej potrzeby sprawy Bożej, wyszkolicie się w gorliwości i pracy apostolskiej. Starczy tam miejsca dla wszystkich i starczy dla wszystkich pracy.

Wieńcem wyćwiczonych szeregów otoczcie swych księży proboszczów, którzy prowadzą was do Boga w poczuciu strasznej odpowiedzialności za wasze dusze, za wiarę, za Kościół. Akcja katolicka to zasadniczo zawsze i wszędzie nic innego, jak apostolska współpraca świeckich z hierarchją, czyli duchowieństwem. A więc wy współpracujcie ze swymi księżmi proboszczami—nie żądajcie, aby było odwrotnie lub inaczej. Bądźcie im zawsze pomocą, nigdy przeszkodą, nigdy utrudnieniem, ani krzyżem.

Miejcie zawsze na uwadze właściwy cel Akcji katolickiej. Nie jest ona żadną sprawą partyjną i nie ma na celu zdobywania władzy politycznej. Nie jest modą, zbytkiem organizacyjnym, zabawką, demonstracją. W każdym szczególe pracy pamiętajcie, że budujecie Królestwo Chrystusowe, a Królestwo Chrystusowe, to łączność wewnętrzna duszy z Bogiem przez życie łaski i publiczna łączność narodów z Chrystusem przez uznanie i uszanowanie Jego praw i nauki. Katolicyzm Akcji katolickiej, jej organizacyj i członków powinien być katolicyzmem pełnym, żywym, iżby do bohaterstwa sposobił szeregi, porywał opieszałych, nawracał błądzących, pozyskiwał niewierzących, ubezwładniał wrogów. Dlatego Akcję katolicką zacząć musimy od siebie i najprzód w sobie ją z gruntu przeprowadzić.

W tej wielkiej sprawie byłoby kapitalną pomyłką spodziewać się jakichkolwiek skutków bez łaski Bożej i bez modlitwy. Do całej dziedziny Akcji katolickiej odnosi się przestroga Zbawiciela, że bez niego nic, zgoła nic zdziałać nie możemy. Apostolstwu przeto musi towarzyszyć korna modlitwa, aby nie było bezowocne i próżne. „Przyjdź Królestwo Twoje" powinno być naszem ulubionem i serdecznem westchnieniem w całej tej pracy. A znamienną cechą pobożności apostołów Akcji katolickiej niech

będzie życie eucharystyczne połączone z mocnem nabożeństwem do Chrystusa Króla, głęboka cześć dla Najśw. Marji Panny, Wspomożycielki Wiernych i kult św. Wojciecha, Patrona Akcji katolickiej w Polsce.

„Łaska wam wszystkim, którzyście w Chrystusie Jezusie". (1, Piotr 5,14).

Poznań, dnia 29 listopada 1930 r.

† *August Kardynał Hlond"*.

Duszpasterstwo miejskie. Pamiętnik Kursu Duszpasterskiego w Warszawie (4—8 listopada 1929 r.). Warszawa, 1930 r. Nakładem Domu Prasy Katolickiej. Str. 306+2 nlb.

Zasadniczo gruby ten tom przeznaczony jest, jako pamiątka dla uczestników kursu, i dlatego pięć stron poświęcono wykazowi ich nazwisk, wydawcy jednak w „Słowie wstępnem" powiadają o tej książce: „Niech z niej skorzystają i ci, którzy w kursie udziału wziąć nie mogli!" Tych ostatnich podzielić można na dwie kategorje: duchowieństwo i świeckich.

Zbyteczną całkiem rzeczą jest dodawać, że zapoznać się z pamiętnikiem tym powinni w pierwszym rzędzie kapłani, dzisiejsze bowiem formy życia w miastach różnią się od form przedwojennych, koniecznością tedy jest zastosowanie do pracy duszpasterskiej w takiem środowisku całkiem innych motod. Poglądy swe o nich wypowiedzieli na kursie ci, którzy w danym zakresie najwięcej zdobyli doświadczenia, wskazówki ich zatem przedstawiają wartość niepoślednią. Oto tylko parę tytułów referatów: „Znajomość parafji w mieście"—ks. prałat dr. Aleksander Fajęcki, „Przeciwdziałanie zepsuciu w parafjach miejskich"—ks. kanclerz dr. Zygmunt Choromański, „Akcja oświatowa i prasa parafjalna" — ks. superjor Wojciech Turowski, „Duszpasterstwo wśród młodzieży rzemieślniczej po miastach" — ks. Michał Kuznowicz, „Akcja charytatywna w parafji" — ks. dr. Marceli Godlewski, „Praca pasterska nad inteligencją miejską"—ks. prof. dr. Zygmunt Kozubski. Nazwiska te mówią same za siebie. Wprawdzie niektóre kwestje nie zostały wyłożone tak drobiazgowo, jakby tego było potrzeba, dość tu wszakże materjału do rozważania, by w potrzebie umieć znaleźć wyjście w ciężkiej sytuacji, jaką nieraz nastręcza dziś duszpasterstwo w mieście.

Ponieważ w pracy nad pogłębieniem w szerokich masach katolicyzmu brać mają z woli Ojca św. także ludzie świeccy, zapoznanie się z „Duszpasterstwem miejskiem" i im również w niejednem dopomoże, uchraniając od marnowania wysiłków na darmo, co mogłoby się przytrafić przy braku znajomości metody nowocześnie pojętej pracy. A marnotrawstwa takiego powinno być jaknajmniej, gdyż na nadmiar pracowników nie można narzekać w żadnym wypadku. *J. M. Ch.*

DO CZYTELNIKÓW.

Prosimy Szan. Czytelników o wpłacenie zaległej prenumeraty. Do numeru listopadowego dołączyliśmy blankiety P. K. O. z wpisaną należnością. Jeżeli ona nie zostanie pokryta, zmuszeni będziemy wstrzymać wysyłkę numerów tym, którzy w opłacie zalegają. Dla uniknięcia tego prosimy o pośpiech w uregulowaniu prenumeraty za zaległe miesiące.

ERRATA.

W № listopadowym w artykule „Pomorze a powstanie listopadowe" na str. 664 wiersz. 17 od góry, nie na miejscu jest słówko „słusznie", spaczające myśl. W tymże artykule, także na str. 664, w 14 i str. 671, w 5 z góry zamiast „w Chełmie" powinno być „w Chełmnie".

Pozatem w artyk. „Akcja Kat. a robotnik przemysłowy", str. 651, w 7 od dołu zastało mylnie wydrukowane słowo „dbałość", zwłaszcza w połączeniu ze zwrotem „sit venia verbo".

MY MŁODZI KATOLICY CHCEMY:

1. przyśpieszyć triumf Chrystusa w Polsce na wszystkich polach naszego życia indywidualnego i społecznego;
2. pomnożyć zastępy kapłanów, którzy w pierwszym rzędzie pracują dla Królestwa Chrystusowego;
3. budzić powołania zakonne w celu przeciwdziałania potęgą dziewictwa współczesnej demoralizacji społecznej;
4. przygotować czystych ojców i matki przez pogłębienie w młodzieży życia katolickiego;
5. oczyścić i uświęcić atmosferę rodzinną przez wprowadzenie do niej kultu Najświętszego Serca Jezusowego i życia eucharystycznego;
6. demaskować i zwalczać podstępne usiłowania wrogów, zmierzające do podkopania dogmatu katolickiego;
7. zwalczać czynnie wszelkie objawy demoralizacji;
8. współdziałać ze wszystkiemi szlachetnemi usiłowaniami ku wyzwoleniu Polski z pod tyranji żydowstwa i masonerji;
9. stawiać przed oczy wzory wybitnych mężów w Narodzie ku pokrzepieniu serc i spotęgowaniu miłości Ojczyzny;
10. szerzyć wśród inteligencji katolickiej uświadomienie społeczne i zrozumienie konieczności czynnej współpracy z masami ludowemi;
11. czerpać światło i moc z orzeczeń papieskich oraz wskazań Episkopatu polskiego.

Drukarnia Djecezjalna w Łomży.